

WŁASNYM 75 GŁOSEM

PISMO SPOŁECZNO - KULTURALNE
WARSZAWA • WRZESIEŃ 2009 R • ISSN 1232-6559 • CENA 2 ZŁ

Anna Bartelak-Jurkowska

Poetycki rejs przyjaciół

Czas – pogodny sobotni wieczór 25 lipca. Miejsce – Wisła, a ściślej mówiąc statek wycieczkowy krążący między warszawskimi mostami Gdańskim i Łazienkowskim. Ten czas i to miejsce stanowiły idealne ramy dla niecodziennego wydarzenia. Oto pokład stateczku opanowali artyści – przede wszystkim ludzie pióra, ale także twórcy zmagający się z materią i dźwiękiem. Całej imprezie zaś patronował z wysoka Edward Stachura, którego 30. rocznica śmierci minęła dzień wcześniej.

Cóż może się wydarzyć na tak niewielkiej przestrzeni, na której zebrało się około 50 osób – dodajmy, że osób szczególnych, patrzących na rzeczywistość przez liryckie okulary? Odpowiedź nasuwa się sama: to okazja do spotkania z twórczością uczestników rejsu. Przecież na co dzień poezja chowa się po kątach. Błysk natchnienia zmusza do wyrzucenia z siebie odkrytej właśnie prawdy, ale nie ma komu jej objawić

Zanim jednak poezja uczestników rejsu doszła do głosu, odtworzona została „Pieśń na wejście” Stachury w wykonaniu „Starego Dobrego Małżeństwa”. A potem, w rytm pracy silnika, popłynęły słowa wierszy... Najpierw Tadeusza Gajcego, jako że zbliżała się sześćdziesiąta piąta rocznica Powstania Warszawskiego.

Oryginalny był to akompaniament: warcot maszyny. Ale słowo poetyckie broniło się dzielnie. W tle przesuwają się nadwiślański pejzaż, błyskają flesze. Każdy, kto wziął ze sobą aparat, chce uchwycić i artystów, i urodę krajobrazu, który w łagodnym wieczornym świetle współgrał z klimatem tego niezwykłego rejsu.

A poeci czytają... Oto intelektualne wiersze Leszka Żulińskiego, potem liryczny wiersz do córki Joasi, dziś dziewięciolatki, która zresztą była obecna na statku, czyta Stefan Jurkowski. Dostojnie i czysto brzmią strofy Ryszarda Sobieszczańskiego. Swoją urokliwą wiersz mówi Małgorzata Karolina Piekarska. Czyta go z... komórki. Cudem go znalazła, bo nie wzięła ze sobą żadnego tekstu napisanego na papierze. Z przyjemnością

śluchaliśmy dalej utworów Zofii Mikuły, Krystyny Woźniak – prezes warszawskiego Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury, Piotra Goszczyckiego, sekretarza redakcji „Własnym Głosem”, Krzysztofa Ciesielskiego, bardzo ciekawego twórcy, Majki Żywickiej z zawodu lekarki, i wielu innych...

A gdy zgasły ostatnie promienie słońca i wybrzmiały już ostatnie słowa wierszy, przyszła kolej na prezentację dzieł plastycznych. Kabina statku stała się na kilka kwadransów galerią sztuki. Chociaż miejsce wernisazu było dość nietypowe, wszystko odbyło się zgodnie z przyjętym obyczajem: kontemplację wystawionych obrazów i rzeźb wkrótce zastąpił gwar rozmów. Do strawy duchowej dodano skromny poczęstunek. Wszyscy zjadali się chlebem upieczonym przez współgospodarza rejsu, Piotra Goszczyckiego. Do chleba zaś podano wyśmienity smalec „autorstwa” Jadwigi Sułkowskiej-Mijał.

– To było moje marzenie – mówi Agnieszka Goszczycka. – Wymyśliłam sobie, że ludzie, którzy mają coś do powiedzenia, powinni móc spotykać się, tworzyć środowisko. Chciałam stworzyć okazję do wspólnego czytania wierszy, prezentowania własnej twórczości plastycznej, rozmowy na tematy dla wszystkich obecnych istotne. I wymyśliłam, że najlepszym miejscem do takich spotkań będzie statek. Wynajęliśmy więc ten statek za własne pieniądze – dorzucił Piotr Goszczycki. – Zaprosiliśmy gości... Jest to swoista kontynuacja tradycji organizowania wieczorów autorskich w prywatnym salonie naszej nieocenionej „Cioci Jadzi” – Jadwigi Sułkowskiej-Mijał. I za tę inspirującą i poezjotwórczą działalność szczególnie dziękował jej Ryszard Sobieszczański.

W tym szczególnym pływającym salonie artystycznym spotkali się ludzie z różnych środowisk literackich. Związek Literatów Polskich reprezentowali wiceprezes Oddziału Warszawskiego Stefan Jurkowski oraz skarbnik Zarządu Głównego Leszek Żuliński. Przedstawicielem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich był Ryszard Sobieszczański. Na



Zdj. Jan Siwnir

poetyckim gruncie przestały istnieć podziały na tych z ZLP i tych z SPP (któż zresztą potrafi odróżnić literata od pisarza?). W każdym razie ci trzej poeci uściskali się serdecznie i prowadzili rozmowy w wielkiej przyjaźni. „Ten rejs integruje środowisko. Okazuje się, że tak naprawdę wszelkie podziały są sztuczne, napędzane przez nielicznych ludzi, którzy nie potrafią realnie spojrzeć na rzeczywistość, zżera ich ambicja i nienawiść” – powiedział Stefan Jurkowski. „Jak to dobrze, że w dzisiejszych czasach komercji i ordynarnej polityki są jeszcze ludzie, którym się chce organizować takie imprezy” – dorzucił Leszek Żuliński. „Świetna atmosfera, znakomite wiersze” – zauważył Ryszard Sobieszczański.

Wszyscy byli zadowoleni. To zresztą mało powiedziane. Byli szczęśliwi. „To ważne, żeby być razem i w przyjaźni. Poezja, podobnie jak muzyka, łagodzi obyczaje” – zauważył Jurkowski.

Kiedy statek przybił do przystani przy Zamku, zapadł już gęsty zmrok. Pożegnaniom nie było końca. I serdecznym podziękowaniami skierowanym pod adresem Agnieszki i Piotra Goszczyckich. Gdyby to było możliwe, wszyscy uczestnicy niezawodnie wypłynęliby już nazajutrz w następny taki rejs przyjaciół.

A na lądzie, zachodnią jezdnią Wisłostrady, w świetle ulicznych latarni biegli uczestnicy maratonu zorganizowanego dla uczczenia 65. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego. Uczestnicy maratonu poetyckiego pozdrawiali ich gorąco...

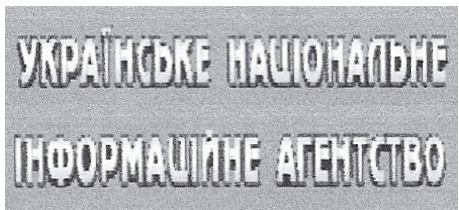


Zdj. Piotr Goszczycki

Na stojąco!

15 sierpnia to święto Wojska Polskiego, a także 89 rocznica Bitwy Warszawskiej. Ten dzień to doskonale pokazanie społeczeństwu potęgi polskiego oręża.

W Warszawie m.in. odbyła się uroczysta zmiana warty honorowej przed Grobem Nieznanego Żołnierza, a w Łazienkach Królewskich był ogromny pokaz sprzętu wojskowego. Można było spróbować tradycyjnej wojskowej grochówki, a także dowiedzieć się o działalności wielu służb wojskowych. Zwieńczeniem święta był uroczysty koncert Reprezentacyjnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego. Swoją bogatą, ponad półtora godzinny repertuar rozpoczął pieśnią, która powstała w czasie I wojny światowej, mianowicie: „My, pierwsza brygada”. Licznie zgromadzona publiczność wysłuchała utworu na stojąco.



Po raz pierwszy....

Po raz pierwszy na Ukrainie zostały wydane poetyckie utwory polskiej poetki Izabeli Zubko. Dwujęzyczny ukraińsko-polski zbiór liryki miłosnej pt. "Nocą budzi się sen" ujrzał światło w żytomierskim wydawnictwie "Ruta". W dniu 5 maja w obwodowej bibliotece naukowej im. O. Olżycza w Żytomierzu, odbyła się prezentacja wydania, która zjednoczyła polskich i ukraińskich artystów.

Zbiór został zilustrowany reprodukcjami obrazów znanego malarza Ukrainy Jurija Kamyszynego, które podczas spotkania można było obejrzeć. Melodyjnością utworów polskiej poetki zafascynował się żytomierski kompozytor Aleksander Chodakowski. Stworzył on muzykę do wiersza „Romantyka”. Utwór ten stał się prawdziwym wydarzeniem tego wieczoru, ponieważ po raz pierwszy został wykonany w obecności Izabeli Zubko.

Natalia Miżygórska, korespondentka ukraińskiej agencji informacyjnej UKRINFORM na Żytomierszczyźnie, zjednoczyła przy wydaniu tej książki utalentowanych ludzi z sąsiadujących krajów. „Połączenie polskiego słowa z ukraińską muzyką, piosenką i malarstwem jeszcze raz udowodniły, że twórcza współpraca nie ma granic. Dla naszego regionu, w którym mieszka dużo etnicznych Polaków, wydanie podobnej książki jest bardzo ważne. Książka ta będzie rozpowszechniana po szkolnych bibliotekach na terenie naszego obwodu” – powiedziała autorka projektu. Liryka religijna zajmuje znaczne miejsce w twórczości Izabeli Zubko. Niedawno autorka wydała zbiór poezji pt. "W imię Ojca...". Jest współautorką Antologii Modlitw Współczesnych pt. "Do ciebie, Ojciec...", almanachu poezji religijnej pt. "A duch wieje, kędy chce", książki poetyckiej zadedykowanej Papieżowi Benedyktowi XVI pt. "Z brewiarzem wspomnień", za którą otrzymała podziękowanie z Sekretariatu Stanu w Watykanie.



Od poetyckiego debiutu poetki, który odbył się w warszawskim klubie "Stodoła", minęło 17 lat. To był szczęśliwy początek twórczości poetki, przez ten czas wydała sześć zbiorów poezji. Teraz jej wiersze trafiły do ukraińskiego czytelnika. Książkę przetłumaczyła Halina Kawun – żytomierska dziennikarka.

Utwory Izabeli Zubko zostały wysoko ocenione przez profesorów Żytomierskiego Instytutu Filologii Państwowego Uniwersytetu im. I. Franka – Antona Lisowskiego i Stanisława Pultera, którzy uczestniczyli w prezentacji zbioru. Dystyngowaną, odświętną atmosferę spotkania stworzył kameralny kwartet imienia Ignacego Feliksa Dobrzyńskiego pod kierunkiem Irenej Kopot. Wydanie książki wsparł deputowany Ukrainy Paweł Zebriwskij.

(UKRINFORM)



Z bitwą w tle

1 sierpnia w „Stasiewiczówce” przy ulicy Orłąt Lwowskich w Nysie po raz trzeci odbyło się spotkanie literacko-poetyckie „Z bitwą w tle”. Od kilku lat w okresie letnim odbywa się Bitwa o Twierdzę Nysa na pamiątkę oblężenia miasta przez wojska napoleońskie, która przyciąga tysiące amatorów batalistyki i militariów. W mieście na szczególną uwagę zasługują fortyfikacje sięgające XIV wieku, kiedy to miasto otrzymało prawdziwe mury ceglano-kamienne z wieżami obronnymi i 28 basztami. Niezwykłość nyskich fortyfikacji jak i strategiczne położenie miasta dostrzegł pruski król – Fryderyk II Wielki, podejmując rozbudowę twierdzy według projektu generała majora Corneliusa Walrave, który stosował wiele nowatorskich rozwiązań, wyprzedzając o kilkadziesiąt lat swą epokę. Obiekty Twierdzy Nysa zajmują łącznie ok. 80 ha.

Jeszcze nie w komplecie zjawiliśmy się na polu bitewnym, gdzie huk dział i tętęt rozjuszonych koni w pyli i dymie armatnim, przy jęku rannych spowodował rozproszenie literackiego towarzystwa. Przemarsz oddziałów i bębny doboszy zakłócały łączność nawet komórkową. Jednak wszyscy znali miejsce zbiórki:

– po bitwie przy bramie do Fortu II.

W końcu odnaleźliśmy się. Ktoś miał popalone prochem spodnie, inny okopconą twarz, a jedna z koleżanek odbiła ogromną dłoń na poślach. Ponoć broniła się przed maruderami. Jak skutecznie, nie wiadomo. Całą grupą zwiedziliśmy dziedziniec fortu i zapoznaliśmy się ze sposobem zakwaterowania wojska. W namiotach zgodnie z epoką

słoma i derki do nakrycia. Na zydłach butle z wodą i winem. Jadło w glinianych dwojkach. Ogniska z trójnogiem i w wiszącym garnku prażące się jedło, obok tego stały markietanki uśmiechnięte z dekoltem do pasa. Fotografowaniu nie było końca.

„Stasiewiczówka” dostаточно czekała. W tym roku goszczono takie znakomitości jak: Zbigniewa Kresowatego z Wrocławia – artystę-palystykę, ikonopisarza, eseistę, krytyka literacko-artystycznego (ostatniego ucznia prof. Gepperta), dr. nauk humanistycznych Danielę Długosz-Pencę i Edmunda Borzemskiego – członków Związku Literatów Polskich, Romanę Więcaszek, Witolda Hreczaniuka oraz nysanki: Romanę Klubowicz, Renatę Mangold i Oleksę Zacharską.

Jerzy Stasiewicz – poeta i dramaturg – otrzymał z rąk Zbigniewa Kresowatego ikonę przedstawiającą św. Jerzego walczącego ze smokiem i recenzję książki „Być wędrującym drzewem i podążać ku samospaleniu”, podsumowującą dotychczasowy całokształt twórczości poetyckiej nysanina.

Spotkania literackie mają to do siebie, że konsolidują ludzi nie tylko poetycko, a przede wszystkim kulinarnie. Przy grillowanym karczku i kaszance niesamowite powodzenie miała marynowana cukinia i nalewki Teresy Hreczaniuk. Nie gorszym powodzeniem cieszyło się wino gospodarza.

W grupach dyskutowano o poezji i planach wydawniczych, o promocji książek, przypadających na jesień. O tych, co odeszli, a jeszcze nie tak dawno byli z nami.

Nocą zwiedziliśmy Fort I, gdzie słabe oświetlenie i ogromne mury dodawały niezwykłości temu miejscu. Chrobot kutych, żelaznych bram wywoływał ciarki na plecach. „Stasiewiczówka” usytuowana bowiem jest między Fortami I, II, a regulickim.

Po północy w altanie, dalszym dysputom nie było końca, a śpiew niesło wzgórze poligonu, na którym przed dwustu laty stacjonował Napoleon, dając wytchnienie zdziśiatkowanemu wojsku.

Następnego dnia gospodarz oprowadził gości po Nysie, przybliżając historię miasta i jego sławnych mieszkańców; m.in. Jerzego Kozarzewskiego, Wandę Pawlik, Josepha von Eichendorffa i Maxa Hermanna-Neisse.

P.S.

W Barcinie wręczono medale

Społeczna Kapituła, działająca przy Robotniczym Stowarzyszeniu Twórców Kultury w Bydgoszczy, przyznała kolejną edycję honorowego Medalu im. Jakuba Wojciechowskiego za „Zasługi dla Kultury Robotniczej” następującym osobom: Janowi Z. Brudnickiemu z Warszawy, Wiesławowi Konecznemu z Libiąża, Grażynie Konarzewskej z Barcina, Genowefie Świdnik ze Świdnika i Płockiemu Stowarzyszeniu Twórców Kultury w Płocku (medal odebrała jego przewodnicząca Krystyna Ołędryńska).

W skład kapituły wchodził: przewodniczący – Ireneusz Frelichowski, Elżbieta Nowosielska, Maksymilian Bart Kozłowski,



Ryszard Grundman w kabinie

Stanisław Dymek

Pułkownik Grundman – pisarz

O pułkowniku Ryszardzie Grundmanie, znakomitym pilocie wojskowym, pisaliśmy już na tych łamach parokrotnie, w miarę jak ukazywały się jego kolejne książki. Z zainteresowaniem obserwowaliśmy, jak jego pisarstwo dojrzewa, krzepnie warsztatowo i przekształca się z prostego pamiętnikarstwa w autentyczną literaturę. Ten istotny przełom dokonał się, naszym zdaniem, wraz z opublikowaniem sygnalizowanego tu zbioru opowiadań „Barwy ryzyka” (2008 r.)

Stwierdzenie to trzeba będzie jeszcze uzasadnić, wszelako już teraz pułkownika dyplomowanego Ryszarda Grundmana (studia w Oficerskiej Szkole Lotniczej w Dęblinie i Akademii Sztabu Generalnego) wypada umieścić w honorowym pocście pisarzy spod znaku Ikara. A „ikaryzm” wszak – jak kiedyś pisał znany krytyk literacki Jan Zbigniew Brudnicki – „jest ideą życia i marzeniem o „skrzydlatych słowach”... Rumak przestrzeni – samolot. Czas odliczany na sekundy, nawet na ułamki sekund. Człowiek oderwany od ziemi, a jednak stukrotnie udomowiony. Rywalizacja z żywiołami. Planeta widziana z kosmosu. W tle siedliska, ptaki, gwiazdy. Gubienie się i odnajdywanie w przestrzeni. Gubienie się i odnajdywanie się w sobie”. W podobny sposób postrzegał romantyzm podniebego lotu – lotu, który jest metaforą życia – klasyk lotniczego pisarstwa Antoine de Saint-Exupéry. Myślę zresztą, że każdy człowiek, który odrywa się od ziemi, a więc nie tylko lotnik, ale i pasażer samolotu, jest w stanie doznać momentu metafizycznego, czyli wzniesienia wyobraźni. Nie każdy potrafi ten moment wyrazić i opisać, wszelako podniebny reporter musi to czynić.

A pułkownik Ryszard Grundman bardzo dobrze wywiązuje się z tego obowiązku. Ten

twardy mężczyzna, pilot wojskowy pierwszej klasy, jest w istocie lirykiem, człowiekiem wrażliwym na doznanie przestrzeni i piękno przyrody. Już pierwsze jego opowiadanie „Lot nad gniazdem”, jakie znalazło się w almanachu „Ikarowe strofy i opowieści” (1996), świadczyło o mocnym przywiązaniu do miejsca urodzenia. Oto stosowny cytat: „Miasta pamięta się inaczej niż ludzi. Głos, dźwięk, barwa, zapach sprawiają, że szczegół wywołuje obraz obrastający drobinami wspomnień i nagle powtarzamy wędrówkę w poszukiwaniu czasu, który trwa już tylko w muzeum prywatności... Teraz, lecąc nad swoim gniazdem, z kabiny mojego odrzutowego myśliwca widzę dalej niż kiedyś, z głębi ulic starej części Konina... To już nie to samo miasto, ale nadal jest moje i jestem z niego dumny”.

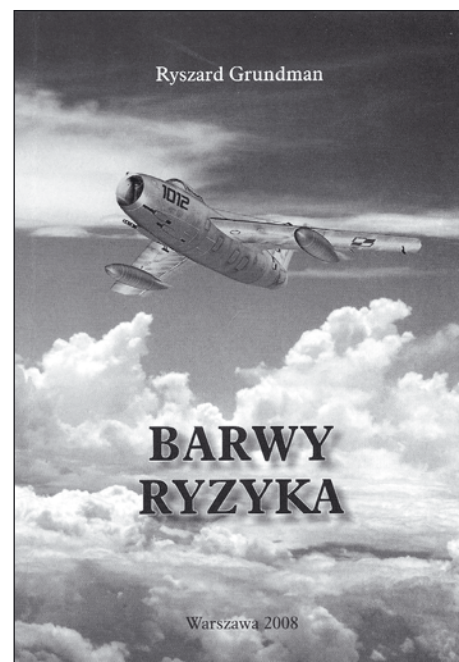
Opowiadanie to weszło do książki „Gniazdo”, nadając tej książce ton nostalgiczny, jako że chodzi o wspomnienia z czasów wczesnej młodości i pierwszych doświadczeń w lotnictwie wojskowym. Ryszard Grundman urodził się 1 stycznia 1931 roku w Koninie i w tymże mieście złapał najpierw bakcyła modelarstwa, a już w 1947 r. zainteresował się szybownictwem. W 1949 r. wstąpił ochotniczo do Oficerskiej Szkoły Lotniczej w Dęblinie, a dwa lata później ukończył ją jako prymus. Był to początek 22-letniej służby w 1 pułku lotnictwa myśliwskiego „Warszawa”, uwieńczony m.in. funkcją dowódcy tego historycznego pułku. Ukończył szkołę asów i zaliczył na swoim koncie blisko 3000 godzin lotów za sterami różnych typów samolotów wojskowych. Latał najpierw, jako podchorąży, na szkolno-treningowych UT-2 ze stałym podwoziem i otwartą kabiną, później na szkolnej wersji Jaka-9 W, na odrzutowych Lim-2, MiG-15 i wreszcie na MiG-21. Z czasem stał się aktywnym uczestnikiem rozwoju polskiego lotnictwa, będąc jedną z najbardziej wyrazistych postaci w historii sił powietrznych naszego kraju. I sam współtworzył tę historię. Bywał instruktorem, oblatywaczem, zdobywał tytuły na zawodach lotniczych. Po odejściu z dowództwa pułku był szefem Bazy Lotniczej, a wreszcie po oddelegowaniu z wojska – zajmował się szkoleniem młodzieży w Aeroklubie Rzeczypospolitej.

A kiedy zaczęło się pisanie? Myślę, że ten bakcył trwał w uśpieniu przez wiele lat, a odżywał wraz z kolejnymi lekturami na temat lotnictwa. „Dywizjon 303” Arkadego Fiedlera był zapewne pierwszy, bo tę książkę przeczytało kilka pokoleń. Romantyka i humanizm Saint-Exupéry’ego, sprawność pisarska Janusza Meissnera to obowiązkowe lekcje każdego pisarza zajmującego się lotnictwem, a wyraźnie widać, że tę szkołę Ryszard Grundman ukończył również z wyróżnieniem. Ale naprawdę mógł pisać dopiero po przejściu w 1992 roku w stan spoczynku, po 42 latach służby. Był uczestnikiem bodaj wszystkich konkursów organizowanych od 1994 roku przez Klub Wojsk Lotniczych i Obrony Powietrznej (obecna nazwa Klub Sił Powietrznych) pod nazwą „Ikarowe strofy”. Zdobywał w tych konkursach nagrody i wyróżnienia, a kolejne opowieści stawały się częścią książek: „Smugi na niebie”, „W cieniu skrzydeł”, „Podniebne rodeo”, „Polscy piloci i UFO”. Wspomniany tu zbiór wspomnieniowych relacji pt. „Gniazdo” miał już dwa wydania. „Barwy ryzyka”, rzecz opublikowana w roku ubiegłym, to jakby uzupełnienie tamtej książki. Zresztą jakościowo różne, ponieważ w tym przypadku autentyczne zdarzenia przekształcają się pod piórem autora w opowieści o szerszym znaczeniu i większym wymiarze.

Ryszard Grundman zastrzega się, że nie sięga po fikcję literacką, ponieważ w lotnictwie zdarzeń nie trzeba wymyślać, samo życie podpowiada najdziwniejsze scenariusze. Owszem, to prawda, ale w grę wchodzi jeszcze talent pisarski, warsztatowa sprawność. Zresztą w „Barwach ryzyka” Grundman wyraźnie odchodzi od własnych wspomnień, posiłkuje się relacjami innych osób, ale czyni to w tak sugestywny sposób, jakby sam był uczestnikiem opisywanych incydentów. Jest więc jakby reporterem, ale i wrażliwym twórcą narracji. Jest to szkoła Melchiora Wańkowicza i Ryszarda Kapuścińskiego, ale gdybym szukał porównania z jakimś autorem wywodzącym się ze środowiska wojskowego, to musiałbym wspomnieć o nieżyjącym już majorze Bohdanie Kaznowskim. W swej cennej literacko opowieści „Portret zza mgły” (1971) zrelacjonował przypadek uratowania przez pilota samolotu odrzutowego, który uległ awarii w powietrzu. Kaznowski, członek redakcji tygodnika „Wiraże”, zastanawiał się wówczas, „ile brawury, a ile rozważi zawierać się powinno w działaniu współczesnego pilota samolotu odrzutowego”. Tę samą kwestię musiał rozważać Grundman, opisując przypadek kapitana Stanisława Mielczarka w opowiadaniu „Pechowy trzynasty”. Zresztą podobna historia przydarzyła się ppor. Andrzejowi Wanowiczowi po utracie orientacji i wyciśnięciu resztek paliwa.

Autor „Barw ryzyka” co rusz zaskakuje czytelników równie dramatycznymi opowieściami. W relacji zatytułowanej „Cuda się zdarzają” mamy np. opis niefortunnego strzelania do „rękawa” w wyniku fabrycznego błędu – braku samolikwidatora w pocisku działka 23 mm. Z opowiadania „Dwa zrzuty” wynika, że tragiczny błąd można popełnić w trakcie ćwiczebnego bombardowania celu poza poligonem. A co dzieje się wtedy, gdy pilotów ponosi ułańska fantazja? No cóż, trafiają „Do raportu”, chociaż później nieoficjalnie chwali się ich za wzorowy przelot w parze nad Puszcza Kampinoską i Wisłą.

Sporo liryki jawi się w „Barwach ryzyka”. Grundman pięknie opisuje pejzaże, chmury, niebo rozgwieżdżone, nocne loty, przedarcie się przez front burzowy. I to się czyta! Jest takie wspaniałe opowiadanie, „W krainie wyobraźni”, które czytałem z autentycznym wzruszeniem. A obok znalazł się wiersz „Na lotnisku”, bo pan pułkownik pisze także poezję. Czekamy więc na zbiór wierszy!



Z cyklu: Sylwetki

Bogdan Weron,
poeta z Podhala

Tradycje ludowego pisarstwa na Podhalu są bardzo bogate i sięgają co najmniej początków XIX wieku. Wywodzą się od gawędziarstwa i rodzinnych posiadów. W 1808 roku urodził się najsłynniejszy z czasem gawędziarz zakopiański Sabała-Krzepkowski, zwany „góralskim Homerem”. Nie znał pisma, nie mógł więc swoich gawęd zapisywać, uczynili to inni. Rozstał się w 1873 r. Henryk Sienkiewicz, pisząc opowiadanie „W Sabałowej bajce”. Nie mniejszą sławę zdobyli młodszy Sabała gawędziarze: Tomasz Stopka Gadeja (1830-1910), Andrzej Tyłka Suleja (1855-1915) i Stanisław Krzeptowski Biały (1860-1932); ci dwaj ostatni potrafili już swoje opowieści spisywać, a więc zaczęli tworzyć autentyczną literaturę ludową.

W drugiej połowie XIX wieku rozpoczęli działalność pisarze, którzy na bazie folkloru umieli tworzyć dzieła w pełni artystyczne: Kazimierz Przerwa – Tetmajer, wywodzący się z Ludźmierza, Władysław Orkan (właściwe nazwisko Franciszek Smreczyński) z Poręby Wielkiej czy Jan Kasprowicz. Ten ostatni urodził się wprawdzie w Szymborze koło Inowrocławia, jako syn biednego chłop, ale większość życia spędził w Galicji i osiadł ostatecznie w Ponorinie. Jego ostatnie dzieło „Mój świat” (1926) z podtytułem „Pieśni na gęśliczkach i malowanki na szkłach”, zawierało przeważnie stylizacje ludowe, nawiązujące do folkloru góralskiego. Również wcześniejszy cykl „Księga ubogich” (1916) stanowi świadectwo zauroczenia przyrodą tatrzańską i swoistą mistyką gór.

„Przynoszę ci kilka pieśni,
W cichym je składam pokłoncie –
Proste i Szare jak głazy:
W góry poszedłem po nie.”

Jan Kasprowicz i Władysław Orkan wytworzyli równoległe, choć bez wzajemnego kontaktu, tzw. podhalańską szkołę poetycką, z której wyszli zarówno twórcy profesjonalni, jak np. Józef Jedlicz, Feliks Gwiżdż, czy Andrzej Galica, ale też amatorzy zaprezentowani w antologii „Poezja młodego Podhala” (1937). Wymienić tu należy chłopskiego samouka Stanisława Nędzę Kubińca, a także Anielę Gut-Stapińską, która nie mając wyższego wykształcenia, zdołała wznieść się na poziom artystycznego pisarstwa w zakresie poezji, dramatu i gawędziarstwa.

Niegdyś nurt słowa pisanego na Podhalu kontynuuje dziś cała grupa zdolnych autorów prezentowanych przez Oficynę Podhalańską. Wymienić by należało nauczyciela z Czarnego Dunajca Józefa Szaflarskiego (rocznik 1948), który jeden ze swoich sonetów poświęcił pamięci Jana Krzeptowskiego Sabały. Znaczący to, że Homerowa nuta wciąż jest żywa na podhalu.

To samo dotyczy bohatera niniejszej opowieści Bogdana Werona, rdzennego zakopiańczyka. Urodził się 22 czerwca 1951 roku jako syn Zofii i Władysława Weronów. W rodzinnej miejscowości ukończył najpierw szkołę podstawową, a następnie zawodową, uzyskując uprawnienia hydraulika. Po odbyciu służby wojskowej zatrudnił się najpierw w Fabryce Samochodów Małolitrażowych w Tychach, ale już po krótkim czasie powrócił do Zakopanego, uzyskując pracę w prywatnym zakładzie metalowo-plastycznym. Z kolei został konserwalem i palacem



w zakopiańskim domu wczasowym „Bel-Ami”. W 1979 roku ożenił się z Janiną Kalatówną i przeniósł się do pięknej i zamożnej wsi Zaskale koło Nowego Targu.

Jako poeta zadebiutował Bogdan Weron w 1983 r. wierszem „Pokolenia”, opublikowanym na łamach tygodnika „Dunajec”. Utwór ten został dobrze przyjęty przez znawców, wkrótce więc Weron zaczął swoje utwory publikować w „Podhalu”, „Orle Tatrzańskim”, „Chłopskiej Drodze”, „Bez Kurtyny” i „Twórczości Robotników”.

W 1985 roku Sudecka Oficyna wydawnicza opublikowała jego pierwszy zbiór wierszy i miniatur prozatorskich pt. „Ikona czasu”. Utwory te przeniknięte są liryzmem i charakterystycznym dla Werona smętkiem. A także sarkazmem w stosunku do „pokolenia dyskotek, które cząstki swego życia traci w „chaotycznych tańcach”. Swoją pisarską płaszczyznę zainteresowań poeta zakreślił w takiej oto inwokacji:

„Homera gęśli nuto
góralskiej Odysei
rzeźbiona w sercu tęsknoto
śle bodnego wspomnienia...”

Z kolei w wierszu „Góralka refleksja” znajdujemy jakby zarys poetyckiego programu:

„usłyszeć własny puls
w skalnej ciszy
w zadumie głazów
odnaleźć ludzki ból...
urodzić myśl godną człowieka”

W 1985 roku Bogdan Weron został członkiem Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury we Wrocławiu. Szef tego grona Tereniusz Nawrocki bardzo go cenił i umożliwiał mu spotkania autorskie w stolicy Dolnego Śląska. Poeta chętnie występował publicznie, posiłkując się zarówno czystą polszczyzną, jak i góralską gwara.

W 1987 roku Fundacja Stypendialna im. Anny Domagały-Jakuć w Łodzi, działająca pod egidą RSTK, wydała skromny tomik miniatur prozą „Zwierciadło czasu”. Jako sponsor wystąpiły Zakłady Chemiczne w Oświęcimiu, z którymi Weron był związany, pracując w domu wypożyczkowym „Bel-Ami”. W tym miejscu wypada zaznaczyć, że nasz podhalański poeta i gawędziarz specjalizował się w prozie poetyckiej. Potrafił w liryczny sposób opisać up. bagażowego na dworcu kolejowym w Zakopanem, przydając jego osobie świadomość filozofa wyczułonego na przemijanie czasu. Chętnie

sięgał po motyw utraty i nieodwracalności. Popatrzmy na tytuły tych skromnych opowiadań: „Zraniony krajobraz”, „List na drugi brzeg”, „Rozstanie”, „Już nie jest przyjacielem”, „Samotnia”. Ta ostatnia miniaturka mówi o osiemdziesięcioletniej kobiecie mieszkającej z dala od wsi na pograniczu Gorców. Jej mąż zmarł przed laty, dzieci poszły w świat, przestały matkę odwiedzać. Ale babcia Katarzyna nie narzekała na swój los, do końca życia pogodnie patrzyła na świat. Pewnego dnia narrator (a więc zapewne sam Weron) znów zapragnął ją odwiedzić, niosąc z sobą kanisterkę potrzebnej jej nafty. Okna domku babci były zabite deskami. Odeszła. „Teraz rodzina prawuje się o ten domek. Babcia nie zostawiła testamentu”.

W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, jak już wspomniałem, Weron współpracował z kilkoma pismami i gazetami. Ale tylko w „Twórczości Robotników” i wrocławskiej „Bez Kurtyny” mógł się swobodnie wypowiadać jako publicysta czy recenzent. Chętnie drukowano go we „Własnym Głosem”. Pisał więc np. na temat kryzysu młodej literatury i bezhołwia na rynku wydawniczym. Narzekał na trudności z publikowaniem w prasie krótkich nowel: czy opowiadań, co prawdopodobnie było wynikiem jego doświadczeń. Przeglądając te artykuły natrafiłem na mnóstwo cytatów z Borgesa, Bernarda Shawa i wielu innych pisarzy. Bogdan Weron był człowiekiem bardzo czytającym! Interesował się także młodymi początkującymi pisarzami, czego przykładem przychylna recenzja opowiadań Andrzeja Duboniewicza pt. „Dębowy krzyż”, z istotnym zastrzeżeniem, że górnik nie powinien pisać tylko o górnictwie.

Od 1987 roku Weron działał w Związku Podhalańskim, został pierwszym prezesem oddziału tego związku w Zaskalu. Otrzymał dyplom „Zasłużony dla kultury podhalańskiej”. I nadal pisał wiersze, chociaż niekiedy przychodziło mu to z pewnym trudem. Zygmunt Trzaska, zawsze chętnie pochylający się nad kulturą ludową, napisał o Weronie, że jest on „z zamiłowania bacą słowa i pasie litery na papierze”.

W szczecińskim almanachu firmy MAK „Zakwitanie róża” (1993) znalazły się dwa dłuższe opowiadania Werona: „Smieciarz” i „Mogilka”, oparte zapewne na autentycznych zdarzeniach. Stanowiły one dowód, że poetę z Zaskala stać było na prozą narracyjną, z odpowiednią domieszką dialogów. Ale wydaje się, że był to tylko jednorazowy taki wyczyn pisarski Werona.

W roku 2000 promował w Zaskalu swój kolejny zbiór poezji pt. „Ziemia z sosrębem Tatr”. I zbierał się właśnie do podróży za ocean wraz z redaktorami „Tatrzańskiemu Orle” i jego amerykańskiej edycji „Tatra Eagle”, miał ten tomik podpisywać na swoim wieczorze autorskim. Nie zdążył jednak wyjechać. Zmarł nagle 27 lutego 2001 roku, wkrótce po konkursie potraw regionalnych „Zoskolańskie jodło”. Pogrzeb był góralski, a więc trumnę wieziono powozem, a pobok szli w czarnych cuchach członkowie Związku Podhalańskim.

Tomik „Ziemia z sosrębem Tatr” nie dotarł do Warszawy, nie ma go w Bibliotece Narodowej. Trzeba będzie pojechać do Zaskala. Wiadomo tylko, że w tym tomiku jest wiersz „Pożegnanie”, poświęcony pamięci ks. prof. Józefa Tischnera. Z Zaskala do Łopusznej, gdzie leży ksiądz filozof nie jest daleko, obaj panowie mogą z sobą porozmawiać poprzez czas miniony i przyszły.

Paweł Soroka

Rejs okrętem podwodnym ORP „Bielik”

Rondo Bitwy pod Oliwą w Gdyni Oksywie wczesnym sierpniowym porankiem. W pobliskim Porcie Wojennym krząta się coraz więcej ludzi w granatowych mundurach. Jestem tu po raz pierwszy a w dodatku mam odbyć rejs okrętem podwodnym klasy Kobben, który będzie wykonywał zadania szkoleniowe. Nic więc dziwnego, że jestem nieco poddenerwowany i odczuwam pewien niepokój przed nieznanym. Oficer Prasowy 3 Flotylli Okrętów przecznik Piotr Wojtas prowadzi mnie do nabrzeża. Już z daleka w promieniach słońca widzę charakterystyczne sylwetki czterech „Kobbenów” znajdujących się na wyposażeniu Marynarki Wojennej RP. Z jednej strony wąskiego nabrzeża zacumowane są „Sęp” i „Bielik”, z drugiej – „Sokół” i „Kondor”. Wraz ze znajdującym się w rejonie ORP „Orzeł” stanowią one Dywizjon Okrętów Podwodnych.

Okręty podwodne typu „Kobben” są przystosowane do działania we wszystkich rejonach świata. Zbudowane w stoczniach niemieckich, przez wiele lat pływały pod banderą Norwegii, która przekazała je naszej marynarce na początku XXI wieku. Po modernizacji, która została przeprowadzona w Norwegii na początku lat dziewięćdziesiątych, „Kobbeny” wyposażone są w nowoczesne systemy dowodzenia i łączności NATO oraz systemy kierowania ogniem. Są trudno wykrywalne. Mogą się zanurzać do głębokości 200 metrów.

Kierujemy się do „Bielika”, którym mam popłynąć. Oznaczony jest numerem 296. Witam się z jego dowódcą komandorem porucznikiem marynarki Piotrem Pawłowskim i po trapię wchodząc na pokład okrętu. Idę niepewnie bo jego kadłub jest wąski. Przez właz ostrożnie wchodzi do wnętrza okrętu. Tak wygląda zaokrętowanie.

Przede mną przedział torpedowy. Niezbyt duży „Kobben” ma solidne uzbrojenie: osiem wyrzutni torped kalibru 533 mm! To groźna i skuteczna broń w rękach dobrze wyszkolonych marynarzy – mówi chorąży marynarki Adam Młot, starszy technik broni podwodnej. Jednocześnie odpowiadając na moje pytanie, wyjaśnia jak ładowane są do wyrzutni torpedy. - To bardzo ważna i precyzyjna operacja, ponieważ torpedy zawierają paliwo, a w przypadku rejsu bojowego posiadają także uzbrojone głowice. Najmniejsze uszkodzenie mogłoby mieć fatalne konsekwencje, tak jak to się stało w przypadku „Kurska”, który kilka lat temu zatonął na Morzu Barentsa – dodaje Adam Młot. Tymczasem „Bielik” zwinął – albo jak mówią marynarze – sklarował cumy i wziął kurs na morze, kierując się w stronę Helu. Słyszę cichą pracę jego śruby.

Na początku zostałem przeszkolony jak powinienem się zachować, gdyby doszło do sytuacji awaryjnej. Potem udałem się do socjalnej części „Bielika”. Wskazano mi koję, na której będę mógł spać i odpoczywać oraz szafkę, w której umieściłem torbę z moimi rzeczami osobistymi niezbędnymi w czasie pobytu na okręcie. I zaraz potem poproszony zostałem przez dowódcę do mesy na śniadanie. W „Bieliku” mesa składa się z dwóch niskich stołów, wokół których znajdują się wyszcielane podłuzne siedzenia. - W nocy i w przerwach między posiłkami pełnią one rolę koi, na których można leżeć i spać – informuje mnie bosman okrętowy chorąży marynarki Marcin Kobyliański. Notabene oprócz dowódcy jest on przełożonym wszystkich podoficerów i marynarzy na okręcie.

Po śniadaniu kieruję się w stronę środka okrętu. Tu miesi się wejście do kiosku, dominującego nad całym okrętem podwodnym. Gdy okręt płynie w wynurzeniu, na jego szczycie pełnią wachtę marynarze, obserwując okalający akwen. - Niech Pan tam wejdzie - zachęca mnie bosman okrętowy chorąży Marcin Kobyliański. Patrzę do góry – należy pokonać co najmniej 5 - 6 metrów, wspinając się w pionowej rurze po metalowych stopniach-uchwytach. Muszę bardzo uważać by się nie ześlizgnąć, tym bardziej, że nie mam do tego wprawy. Wreszcie jestem na szczycie i siadam obok oficera wachtowego i jego dublera. Uderzony zostałem silnymi porywami wiatru, który zrywa moją czapkę z daszkiem; wpada ona do morza. Byłem bardzo do niej przywiązany, ale w tej sytuacji jestem bezsilny. Płyniemy nie tak daleko od brzegu, w zasięgu mojego wzroku znajduje się oddalający się stopniowo Półwysep Helski.

Krótko potem, gdy zszedłem do wnętrza okrętu, dzwonek ogłasza alarm. Pada komenda dowódcy: do zanurzenia! Opuścić pomost! Zamknąć górny właz, opuścić antenę UKF, zamknąć dolny właz. Zalać jedynek, zalać dwójkę! Chodzi o zbiorniki balastowe – wyjaśnia mi II mechanik porucznik marynarki Adrian Sokalski. Od góry słychać stopniowo napierającą masę wody, a jednocześnie wodę napełniającą te zbiorniki. Początkowo „Bielik” zatrzymuje się na głębokości peryskopowej. Pierwsze zanurzenie mam więc za sobą! To dla mnie zupełnie nowe przeżycie i moment refleksji. I od razu zapragnąłem wyjrzeć przez peryskop. Dotąd miałem okazję oglądać go na różnych filmach. Teraz mogłem go uchwycić własnymi rękami. - W prawej ręce



ma Pan powiększenie, w lewej kąt elewacji – instruuje mnie dowódca. Na horyzoncie ujrzałem duży statek, jak mi wyjaśnił jeden z oficerów, był to prom pasażerski płynący do Szwecji. Obróciłem peryskop w poziomie i tu ukazało mi się oddalające się polskie wybrzeże. Wokół Bałtyk był coraz bardziej rozkołysany.

Zainteresowały mnie przyrządy i wskaźniki, które gęsto, jedno przy drugim, są rozmieszczone na śródkręciu. Z lewej strony ekran radaru i stanowisko nawigatora – wachtowego, przy którym cały czas dzień i noc pełniona jest wachta i przeprowadzane są niezbędne wyliczenia pozwalające sterować okrętem. Z prawej – stery kierunku i głębokości. I wskaźniki głębokości. Zauważyłem, że wskaźówka na nich zaczyna kręcić się w prawo. Zanurzyliśmy się więc coraz głębiej. Ogarnia mnie lekki niepokój. Osiągnęliśmy głębokość 60 metrów, największą jaką jest możliwa w tym miejscu Bałtyku. Zostałem poinformowany, że znajdujemy się na obszarze poligonu morskiego P-12.

I wtedy spotkała mnie niespodzianka: chrzest morsk. Proszę wypić tę szklankę wody – usłyszałem słowa dowódcy. - I to jedynym chaustem! Poczuję, że woda jest słona, jej smak złagodził plasterek cytryny. Okazało się, że to woda morską pobrana z maksymalnej głębokości, na jaką w tym rejsie zanurzył się ORP „Bielik”. Za chwilę komandor por. Pawłowski wręczył mi rulon z wypisanym staropolszczyzną Manifestem Neptuna, nadającym mi imię: Antares. Na mocy tego manifestu zostałem wliczony w poczet poddanych Króla Neptuna. Ten certyfikat będę bardzo sobie cenił.

W wolnej chwili w miesiąc dłużej porozmawiałem z dowódcą kmdr por. Piotrem Pawłowskim. Szczególnie zainteresował mnie jego udział w misji „Active Endeavour”, którą na jednym z Kobbenów – ORP „Kondor” odbył niedawno. To kryptonim operacji NATO, prowadzonej na Morzu Śródziemnym po 11 września 2001 r. Jej celem jest ochrona statków cywilnych w rejonie Cieśniny Gibraltarskiej poprzez monitoring żeglugi w celu wykrycia terrorystów i przemytników. Misję tę rotacyjnie wykonują także inne okręty wojenne Marynarki Wojennej RP.

Głównym atutem ORP „Kondor” w czasie tej misji była skrytość działań. Operując w zanurzeniu monitorował żeglugę pozostając niewykrytym. Pod wodą okręt przepłynął 8 tysięcy mil morskich, „kontrolując” obszar ok. 200 tysięcy km² (ponad połowa powierzchni Polski). - Było to niesamowite doświadczenie. Jak wychodziliśmy w morze to przebywaliśmy w nim bez przerwy 2 tygodnie, w tym większość czasu w zanurzeniu – wspomina komandor por. Pawłowski. - Potem 2 - 3 dni w porcie, gdzie odtwarzaliśmy gotowość bojową, uzupełnialiśmy paliwo, oleje, wodę i prowiant..., odsapnęliśmy troszeczkę, odespaliśmy, niektórym udało się nawet coś zwiedzić i pora znów w morze. Było to naprawdę bardzo męczące – i fizycznie i psychicznie. Po pewnym czasie w naszym okręcie czuliśmy się jak automaty, nie wiedzieliśmy co zrobić ze sobą. Wydawało nam się, że nie mamy swojego miejsca na kochach! Chociaż cały czas mieliśmy świadomość, że wykonujemy ważną natowską misję i reprezentujemy w niej Polskę, a poza tym zdobywamy cenne doświadczenie bojowe.

Będąc na pokładzie okrętu podwodnego, starałem się poznać jego funkcjonowanie. Udałem się więc do maszynowni. Tylko na chwilę, ponieważ przez cały czas panuje tam temperatura 50 stopni celsjusza! „Bielik”, podobnie jak inne „Kobbeny”, posiada dwa silniki spalinowe Mercedesa Maybacha o mocy 600 KM. każdy. Pracują one w wynurzeniu lub na chrapach – poinformował mnie I mechanik kapitan marynarki Dariusz Olas. Natomiast gdy okręt płynie w zanurzeniu to napędza go - pracujący bardzo cicho - jeden silnik elektryczny o mocy 1100 kilowat (1500 KM).

Wieczorem miał miejsce alarm bojowy, gdy „Bielik” znajdował się na głębokości peryskopowej na obszarze poligonu morskiego. Jego załoga ćwiczyła przeprowadzenie ataku torpedowego. Obserwując za pomocą peryskopu powierzchnię morza, dowódca okrętu wydawał rozkazy swoim podwładnym. Wreszcie padła najważniejsza komenda: - pal ! Wkrótce potem usłyszeliśmy krótkie skwitowanie: - torpeda trafiła w cel! Oczywiście to były tylko symulowane ćwiczenia przy użyciu odpowiednich systemów wykrywania i naprowadzania na cel. Należy jednak mieć świadomość, że w rzeczywistych warunkach bojowych wszystko przebiegałoby podobnie, z tą tylko różnicą, że wówczas wystrzelona zostałaby torpeda - w dodatku uzbrojona w głowicę bojową, a celem byłby wrogi okręt.

Odbywając rejs okrętem podwodnym cały czas byłem w kontakcie z jego załogą, rozmawiam z oficerami, podoficerami i marynarzami. Są bezpośredni i taktowni, z wyrozumieniem odnieśli się do moich pytań, nawet gdy byli zajęci wykonywaniem obowiązków wynikających z przypisanych im stanowisk. Dostrzegłem, że stanowią oni dobrze zintegrowaną wspólnotę, taką marynarską rodzinę. Doskonale się rozumieją. Dowodzenie nimi nie polega na drylu, ślepej dyscyplinie. Wysłuchują swojego dowódcy, realizują jego polecenia bo jest on dla nich autorytetem, osobą, do której mają zaufanie. I właśnie na zaufaniu, kompetencjach i doświadczeniu opiera się współdziałanie poszczególnych członków załogi. To powoduje, że ja jako cywil na pokładzie głęboko zanurzonego okrętu podwodnego czuję się bezpiecznie. Jak to się mówi – byłem w dobrych rękach.

Późnym popołudniem zaczęła nas ogarniać senność. Nie będąc na wachcie położyliśmy się na kochach by odpocząć. Przyczyną było rosnące stężenie dwutlenku węgla (w ciągu jakichś sześciu godzin zawartość tlenu spada do 19%, dwutlenku węgla wzrasta do ponad 2%). Dlatego okręt musiał powrócić na głębokość peryskopową, by podnieść chrapy, za pomocą których spalinywy silnik zaczął zasysać do okrętu świeże powietrze. Zaczęło nam się lżej oddychać.



Jedną z najbardziej zapracowanych osób na okręcie jest kucharz. Sam przygotowuje trzy posiłki dziennie dla całej załogi. W śródkręciu dysponuje on dość ciasnym pomieszczeniem, wyposażonym w niezbędne akcesoria i urządzenia kuchenne. Na „Bieliku” jest nim bosman Robert Kotlewski. Dotąd pracował w stołówce Portu Wojennego na Oksywiu, teraz odbywa swój pierwszy rejs na okręcie podwodnym. Dlatego podobnie jak ja przeszedł chrzest morsk. - Muszę się przystosować do nowych warunków, bez wątplenia trudniejszych niż na lądzie – mówi pan Robert. - Lubię jednak tę pracę, nawet tu pod wodą. Muszę stwierdzić, że posiłki, które przygotował były bardzo smaczne. A na pokładzie okrętu podwodnego apetyt dopisuje.

Zaczęła się noc. Na wachcie została nieliczna dyżurna załoga. Na okręcie niewielki ruch, większość członków załogi śpi w śpiworach na wąskich kochach. Przed położeniem się do snu, udałem się do przedziału, w którym pracuje sonar.

- To czego nie zobaczy peryskop, to usłyszy sonar – informuje mnie mat Marcin Herbarz, obsługujący to niewielkie ale bardzo ważne urządzenie. W zanurzeniu, poniżej głębokości peryskopowej, okręt podwodny jest praktycznie ślepy i wtedy właśnie sonar jest jego oczami i uszami. Po odgłosie pracujących śrub rozpoznaje każdy - płynący nad okrętem podwodnym lub w jego pobliżu - statek lub okręt wojenny, w tym również podwodny. Sonarzysta pełni wachtę całą noc, ponieważ o tej porze, choćby ze względów bezpieczeństwa, okręt podwodny przeważnie płynie w zanurzeniu.

Po północy położyłem się na koi, nie łatwo było mi usnąć, miałem za sobą moc przeżyć niedostępnych na co dzień, w dodatku okręt kołysze się, mimo że jest głęboko zanurzony. O godzinie 4.00 nad ranem obudził nas wszystkich alarm. Zerwaliśmy się z koi i udaliśmy do centralnego miejsca przy pierwszym peryskopie. Padła komenda dowódcy: - do wynurzenia! Wyraźnie było słychać odgłos wydawany przez tony morskiej wody wypieranej przez kadłub wynurzającego się „Bielika”. Po pewnym czasie padła kolejna komenda: - otworzyć

Marcin Rzymki

Minisaga

Z miłością do Ojczyzny w mojej rodzinie nie przesadzano. Może trzeba zarzucić sieci w jakieś głębsze epoki, gdzieś hen w powstania, konfederacje? Chociaż, lepiej nie. Czort wie, do czego, albo raczej do kogo, by się dogrzebało. Przez te niziny już od najazdów tatarskich przewinęło się różnej maści luda, a podobno nawet kiedyś to w ogóle tu nie było Polski, tylko jakaś Litwa.

Po pierwsze: dziadek. Zamiast uganiać się po lasach w partyzance, handlował na całego kielbasą z Niemcami. Jakież tam musiały się rozgrywać dylematy lojalnościowe! Było bliżej dziadzi do zimnego koniunkturalizmu, czy raczej potrzeba go pchała ku okupacyjnemu: tera je wojna, kto handluje, ten żyje? Ale kogo to dziś obchodzi? Gdybym chciał zostać prezydentem, piękne sny w Pałacu Namiestnikowskim zwałby mi sprzed nosa wiatr historii z pomocą utrapieńca-masarza w rodowodzie, wyciągniętego w odpowiednim momencie z akt przez kontrpretendentów do elekcji i ich sztabu.

Co innego babka. Ta mogłaby nawet przywdziać aureolę narodowej męczennicy. Zginęła tragicznie w latach sześćdziesiątych pod kołami pociągu, właśnie w momencie, kiedy krađa ziemniaki. Ziemniaki były państwowe, więc babka śmiało awansowałaby do panteonu bojowników o własność prywatną. Tyle, że to nie żaden komunistyczny terror ją zgładził, a jedynie podchmielona nieuwaga. Jako typowa sarmatka, babka lubiła zajrzeć do kielicha. Tego dnia również zajrzała, przez co przegapiła odjazd wagonów z peronu tuż nad jej nogami. Zemsta historii, choć nierychliwa, jednak sprawiedliwa. Nawet wobec sarmackiej słabości. Już w wolnej Polsce pomszczono śmierć męczeńską mojej protoplastki, likwidując najpierw u nas kolej, a później urządzając na stacji dyskotekę.

Nie mógłbym także liczyć na ojca, który za pięć dwunasta załapał się na ostatni strajk w Polsce Ludowej. Matka naszykowała gorącą herbaty w termosie, wcisnęła parę kanapek – ukradkiem, bo miała to być głódówka – i koc pod pachę. Przed obrazem Matki Bożej oczekiwała, aż z ojca narodzi się Janek Wiśniewski. O dwudziestej drugiej ojciec wrócił bez kanapek, bez koca i bez termosu, za to z wciąż mało bohaterskim imieniem Mirosław. Oddech jego zdradzał, że do walki z wrogiem używał broni swojej matki, a mojej babki: czystej wyborowej. W ten sposób, inaczej niż to przewidywały modlitwy przed obrazem Częstochowskiej, Janek-Mirosław padł. Tak czy siak, dzięki wielopokoleniowej determinacji komuna ogłosiła upadłość. Nastąpił rok 89, skończyły się konspiracje, ojciec – po dwóch latach od pamiętnego strajku, wyleciał dyscyplinarnie z roboty. Nie za związku zawodowe, ale kantowanie sprywatyzowanej już wówczas firmy.

Przed ojcem kilka lat wcześniej, także w mrokach komuny (o straszny, 1987 rok), wyleciał ze szkoły mój brat. Poległ na Powstaniu Warszawskim (szkoła zawodowa,

do której miał zaszczyt uczęszczać, chlubiła się ponoć bardzo ambitnym poziomem kształcenia historycznego!). Tak twierdzi bynajmniej. Prawda jednak była taka, że zrobił dziecko jednej wdowie i w obliczu chwilowo ważniejszych obowiązków już nie chciało mu się dźwigać tornistra. Później wszystkim tym pannom, mężatkom i rozwódkom opowiadać będzie o dzielnej i bezkompromisowej walce o prawdę historyczną, o honor powstańców, o nie zakłamaną pamięć. Taki podryw. Na wiedzę. A także na Bóg, Honor i Ojczyznę. Tak to mu wejdzie w krew, aż sam we własnym językiem stworzone baśnie uwierzy. Do dziś cierpi, że z powodu swojego kombatanctwa Polska nie tylko go nie nagrodziła, ale jeszcze ściga za alimenty.

Została jeszcze matka. Ale odkąd pamiętam, deklarowała apolityczność. A to oznacza ni mniej ni więcej, że co wybory robiła na złość całej rodzinie, głosując inaczej niż reszta. Poza tymi cyklicznymi wędrówkami do urny, interesował ją tylko świat do torów kolejowych. A i to jego część: motki, włóczki, sadzonki, farby do włosów, rozproszone po okolicznych wdowach, pannach i mężatkach wnuczeta, chór "Lira" i Matka Boska.

W ten sposób moja rodzina walczyła o Polskę. Ograniczała ujemny przyrost naturalny. Popularyzowała rodzimy przemysł spirytusowy. Toczyła wojny z sąsiadami o miedzę, biła się z gminą o drogę, na lewo podłączając się do elektrowni bojkotowała system. Na grubsze rzeczy nie starczyło czasu.

Ja i moje siostry dorastaliśmy w innej epoce. Pociągi znamy już tylko z telewizji, a tory kolejowe kojarzą nam się z bają bongo. Urodzeni w późnym Gierku nie doświadczyliśmy wojen, przełomów ani zrywów niepodległościowych. Byliśmy za to obserwatorami kolejnych wymian ekip rządowych. Dziś płacimy podatki, zbieramy na filary emerytalne, odliczamy VAT, jeśli oczywiście już nie odwiedzamy urzędów pracy. Poukładani, odpowiedzialni, systematyczni. Nie pozwalamy sobie na skoki w bok, małostkowe zdrady historii. Mówimy z przekąsem: ten kraj, to państwo, to społeczeństwo. Nasz bunt objawia się zaledwie w pracach ręcznych z pilotem telewizyjnym. W ten sposób na małą chwilę uśmiercamy spocone czoła, które z ekranu grożą palcem nie doskonałej nacji. Od czasu do czasu bez przekonania rozglądamy się za innymi stronami, gdzie ludzie są przyjaźniejsi, klimat łagodniejszy, a fiskus łaskawszy. To normalne. To wynik chłodnych obliczeń.

Czasem też przeglądamy stare fotografie, na których nasi przodkowie w podgorączkowym stanie kiwali się z dziećmi.



UWAGA DEBIUT!

Janina Kolečka – emerytowana nauczycielka, polonistka. Mieszka na wsi w powiecie opoczyńskim. Działaczka społeczna. Wrażliwa na piękno przyrody i krzywdę społeczną. Wiersze pisze od dawna, ale dopiero teraz za namową przyjaciół zdecydowała się opublikować swoje utwory.

Jak trudno

Jak trudno być poetą
przywoływać słowa
aby stały się ciałem
nazywały rzecz po imieniu
ludzie boją się takich słów
kiedy miłość znaczy miłość
gniew znaczy gniew
nienawiść jest prawdziwa
a obojętność obojętna
lubimy inne słowa
nijakie
które nie zobowiązują
dają wiele możliwości

człowieku zatrzymaj się
zajrzyj w swoje serce
przecież masz tylko jedno
nie rozmięniaj go na drobne
bądź sobą

Dwa światy

Gdy patrzysz na świat
zachwyca cię swoją urodą
kolorami tęczy
welonem mgieł nad łąkami
kroplami porannej rosy
zapachem jaśminu
promieniami zachodzącego słońca
poświętą księżycą
urokami wiosny
ciepłem lata
spokojem jesieni
dostojeństwem zimy

aż chce się żyć
chłonąć ciszę i spokój
brać i dawać miłość
przekazywać sobie znak pokoju.

ale z głębi wynurza się inny świat
gniewu i nienawiści
głodu i wojen
agresji i zniewalania
strachu i bezsilności
zabijania w imię Jezusa i Allacha
terroryzmu zwalczanego siłą
misji pokojowych uzbrojonych po zęby
decydowania o losach świata
w imię własnych korzyści
i morza nienawiści

brakło już miejsca na znak pokoju
i nie ma miejsca na miłość
odwieczna walka dobra i zła
wciąż trwa

Tomasz Sobieraj

Podwójna śmierć Metresy

Jak pisze Robert Frost w wierszu "Ogień i lód", świat może zginąć nawet dwa razy. Po raz pierwszy, w morzu ognia żądy, który to sposób jest poecie najmilszy. Gdyby jednak z jakiegoś powodu miała być poprawka z egzekucji, to, jak szczerze się przyznaje, zna on na tyle nienawiść, że zagłada za pomocą lodu też wydaje się interesująca i nie powinna zawieść oczekiwań (choćby historycznie głoszone ocieplenie klimatu może proces zamierzania opóźnić o całe wieki). Dokonująca się na naszych oczach zagłada sztuki nie jest tak interesująca jak poetycka wizja końca świata, bowiem widowiskową egzekucję zamieniono na nędną agonię, której przyczyną są dwie przewlekłe choroby – rozbuchany masowy realizm i okowy naiwnego konceptualizmu. Tę powolną śmierć przepowiadano już dużo wcześniej i dokładnie opisano jej symptomy. Niestety, czarny scenariusz intelektualistów sprawdza się lepiej niż wspomagane najnowszą techniką prognozy klimatologów i meteorologów, a życie dopisuje dodatkowo nowe sceny, których nie przewidział nawet Witkacy. Dla mnie, przyrodnika, artysty i filozofa par excellence, działającego na granicy różnych mediów, najważniejszą dziedziną twórczej ekspresji jest fotografia, dlatego szczególnie interesująca wydaje mi się jej podwójna śmierć, która stanowi temat tego szkicu, a właściwie prawie już nekrologu. Jestem jednak przekonany, że przedstawione tutaj zjawiska, tezy i oceny są na tyle uniwersalne, że w większości można je z powodzeniem odnieść do plastyki, muzyki, literatury i innych dziedzin twórczej aktywności.

Cóż to w ogóle jest sztuka fotografii? Według mnie, mamy z nią do czynienia wtedy, gdy artyście za pomocą techniki fotograficznej, w sposób zamierzony uda się przenieść na płaszczyznę kadru konstrukcję z form przestrzennych, w jak największym stopniu pozbawiając powstałą kompozycję dosłowności. Oczywiście, całemu procesowi powinna towarzyszyć świadomość, wiedza i umiejętności, które są warunkiem koniecznym, aby mówić o twórczym działaniu. Moje pojmowanie sztuki jest może nieco ortodoksyjne, ale jego wyznaczniki są klarowne. W ujęciu powszechnym, intuicyjnym, a w konsekwencji mętnym jak wody Gangesu w porze monsunowej, za sztukę fotograficzną uważa się albo sfotografowane życie w jego interesujących przejawach, np. ciekawie powyginane gołe kobiety, zmasakrowane trupy, zebry na sawannie, bezdomnych, motyle itd., albo geściarstwo, czyli uwiecznione mniej zajmujące zjawiska i obiekty, dla przykładu może to być fotografia włochałego pępka, trzech termometrów, zardzewiałej klamki, plamy na ścianie itp. Jak nietrudno zauważyć, w obu przypadkach tak pojmowanej sztuki mamy do czynienia z prawie dosłownym obrazem realistycznym, czyli z rzeczywistością fotograficzną, która jest tylko prostym przeniesieniem rzeczywistości konwencjonalnej, ludzkiej, na płaszczyznę. Różnica między klasyczną, życiową fotografią a geściarstwem polega więc właściwie na tym, że w pierwszej zobrazowane są elementy zbioru zdarzeń i obiektów w jakiś sposób zajmujące treścią i przez nią oddziałujące, w drugim występują elementy tego samego zbioru, tylko bardziej pospolite, łatwiej dostępne, w konsekwencji mniej ciekawe. Ta banalność często prowokuje do szokujących

dla niektórych zestawień, tudzież stwarza pozory mniej lub bardziej istotnego przekazu czy intelektualnej głębi, jak chociażby *Piss Christ* – krucyfiks zanurzony w szklanym pojemniku wypełnionym moczem. Tylko czy tak naprawdę może jeszcze cokolwiek szokować po niemieckiej technologii produkcji mydła i nawozów z ludzi czy amerykańskiej bombie atomowej nad Hiroszimą i Nagasaki? Chyba nawet nie powinno. Analizując kwestie dotyczące pojęcia sztuki fotografii, można przyjąć, że sfotografowane życie mieści się w pojęciu realizmu, a geściarstwo – konceptualizmu. Oba kierunki, krótko poniżej opisane, uważam za szkodliwe dla sztuki fotografii, ilekroć nie spełniają wymienionych przeze mnie warunków.

Realizm fotograficzny jest kierunkiem granicznym, przeciwstawnym konceptualizmowi. Odtwarza rzeczywistość zgodnie z obserwacją i osiągniętym poziomem poznania, zazwyczaj też wymaga warsztatowych umiejętności i dużej wiedzy na temat fotografowanych zjawisk. Realizm nie jest jeszcze sztuką fotograficzną w moim ujęciu, ale może być to początek pięknej drogi do niej; ma wielkie znaczenie wszędzie tam, gdzie niezbędna jest precyzja i obiektywizm, czyli np. w fotografii społecznej, przyrodniczej, reklamowej, naukowej, reportażu itp. W wyniku postępującej demokratyzacji, rozwoju techniki



i co za tym idzie, upowszechnienia zautomatyzowanej fotografii cyfrowej, stał się zjawiskiem masowym, i jako takie nie wymaga już specjalistycznych umiejętności, wiedzy i świadomości artystycznej, które jednak w odosobnionych, radosnych przypadkach, mogą przyjść z czasem. Jest to kierunek charakteryzujący się z jednej strony elitarnością, niezbędną w realizowaniu jego założeń wysokim stopniem profesjonalizmu i pojawiającą się, wraz ze wzrostem świadomości artystycznej sztuką fotografii, zaś z drugiej, pospolitym cyfropstrykactwem, czystą, zautomatyzowaną do maksimum rejestracją zdarzeń bez towarzyszącej idei i refleksji, pospolitą, powszechną rozrywką, jak telefonowanie, esemesowanie, karaoke czy oglądanie teleturniejów.

Antytezą realizmu jest konceptualizm. Występuje zasadniczo w dwóch odmianach: dadaistycznej i konstruktywistycznej. W odmianie będącej pochodną dadaizmu nie wymaga umiejętności, wiedzy i świadomości artystycznej, jego istotą jest idea, zasłaniająca wstydliwie artystyczną niemoc, obraz stanowi wartość drugorzędą. W tej wersji konceptualizm ogranicza tak zwaną twórczość do pomysłu, stworzenia sytuacji wywołującej wrażenia u odbiorcy, rezygnuje z plastycznej mocy fotografii i rzemieślniczego warsztatu na rzecz wtórnych, naiwnych, postdadaistycznych i postdadaistycznych gestów, popartych cherlawą intelektualnie ideologią, stworzoną przez osobników bez podstawowego filozoficznego przygotowania. Konceptualizm nie jest już sztuką fotograficzną w moim ujęciu, sam także definiuje się jako antyszuka, a przynajmniej z niej wyrasta, ale w środowiskach o pozornej erudycji jest nazywany sztuką i nie-

zwykle popularny, dzięki małym wymaganiom warsztatowym i intelektualnym oraz wrażeniu elitarności, które wywiera na nieświadomym odbiorcy. Z kolei konceptualizm w odmianie będącej pochodną niewątpliwych, znaczących osiągnięć konstruktoryzmu i Bauhausu, skupia się głównie na prostocie formy, syntetyczności, minimalizmie, nie odrzuca umiejętności warsztatowych, wiedzy, świadomości artystycznej, estetyki, logiki; w tym przypadku idea i moc plastyczna obrazu są równie ważne, co w konsekwencji wielokrotnie prowadzi do doskonałych wyników artystycznych.

Sztuka fotografii (jak i wszystkie inne posługujące się obrazem) to, trzymając się heglowskiej dialektyki, synteza plastycznej mocy i idei, dlatego nie można nazwać sztuką obrazu wycinka konwencjonalnej rzeczywistości, zastanego i precyzyjnie zarejestrowanego, choćby był najpiękniejszy, najbardziej niezwykły lub interesująco okrutny; nie można też nią nazwać obrazu zarejestrowanego przypadkowo czy mdłego plastycznie konceptualnego gestu, nawet gdyby stała za nim myśl godna wielkiego filozofa czy istotny społeczny problem. Rzeczywistość i przypadek nie mają świadomości, więc nie są twórcze, nie są sztuką, wbrew życzeniom rejestratorów i pseudomyślicieli. Dowodzi tego semantyka i logika. Nonszalancja i ignorancja sprawiają jednak, że pojęcie sztuki fotografii ulega znaczeniowej devaluacji, nie jest jasne, nie ma też żadnych spójnych, logicznych kryteriów umożliwiających ocenę i kwalifikację fotoobrazów (poza moim szkiecem systemu terminów i pojęć dotyczących fotografii). W obu przypadkach – realizmu i konceptualizmu, można oczywiście znaleźć prace wartościowe, zarówno o charakterze dokumentalnym, jak i zgodne z kanonami estetyki, czy interesujące jako eksperyment lub badanie zjawiska, świetne fotografie i ważne gesty, jednak nie można ich nazwać sztuką, bo to wbrew istocie sztuki jako syntezy, nawet w świecie odwróconej aksjologii, w którym żyjemy. Dopiero spełnienie kilku koniecznych warunków: świadomości artystycznej, konstrukcji, umiejętności warsztatowych, talentu, intelektu, może dać dzieło sztuki, nawet realistycznej czy konceptualnej, co jednak zdarza się niezwykle rzadko. Oczywiście, z tymi radykalnymi poglądami nie zgodzi się większość tak zwanych twórców, czyli artystyczny proletariatus, którego produkty są manifestacją plastycznego i intelektualnego ubóstwa. Cóż, większość często ma siłę, ale zazwyczaj nie ma racji – powszechna nieznajomość zasad dynamiki Newtona lub ich bezmyślne negowanie, nie znaczy, że nie istnieją.

Powyższe rozważania z powodzeniem mogą dotyczyć nie tylko fotografii, ale sztuki jako całości, bowiem we wszystkich jej dziedzinach widać opisane powyżej tendencje, z tą różnicą, że realizowane za pomocą innych narzędzi ekspresji – słów, obrazów, dźwięków, ruchów. W każdym przypadku można za ich pomocą stworzyć dzieło albo wydalić twór resztkowy. To jedynie kwestia możliwości.

Według Frosta, zagłada świata w ogniu żądy i lodzie nienawiści, będzie widowiskowa. Dokonująca się zagłada sztuki, widowiskowa nie jest. To agonია we wspólnej, pełnej wyziewów zatłoczonej sali, pod nadzorem pijanych felczerów w brudnych fartuchach zerwanych z ich martwych poprzedników. To niestosowne. Tak nie powinna odchodzić maîtresse, nawet jeśli wyjąca za oknem szpitala tłuszczka, uważa inaczej.

Krystyna Woźniak

Wspomnienie o Zofii Borkowskiej - Uzdowskiej



Pamiętam czerwiec 2005 roku. Po raz pierwszy udałam się na spotkanie sekcji literackiej Wena działającej przy Warszawskim RSTK, które niety-

powo odbyło się na Warszawskiej Woli, w kawiarni Olimpijka. Przyszło wielu literatów, a pośród nich niewysoka, filigranowa kobieta – Zofia Borkowska-Uzdowska; uśmiechnięta czytała swoje wiersze. Była bardzo naturalna a zarazem potrafiła tak je przekazać, że zawsze coś z nich zostało na dużej.

Od tamtej pory spotykałyśmy się cyklicznie raz w miesiącu na naszych spotkaniach literackich już na Nowogrodzkiej. Na Zosię zawsze można było liczyć, kiedy obchodziliśmy 25-lecie RSTK (listopad 2005r.) u niej nocowało kilka naszych gości z innych RSTK. Była ciepłą i bezpośrednią osobą. Życzliwą ludziom. Kiedy zbliżała się wigilia wiadomo było, że Zosia przyniesie swój bigos, ale co to był za bigos? Z suszonymi owocami, grzybami, znakomicie przyprawiony.

Zosia, nie tylko pisała wiersze, malowała także pastele. Jej obrazy to najczęściej kwiaty, z których emanowało ciepło. Wiele razy swoje wiersze i obrazy prezentowała w czasie wieczorów autorskich, występując na nich wraz ze swoim mężem, który pięknie grał na pianinie. Od Zosi dostałam dwie autorskie książki poetyckie, ukryty w nich był ból po stracie syna i męża. Zosia poświęcała się dla drugiego człowieka, pomagała innym i ja sama też korzystałam z jej pomocy. Potrafiła nieraz do mnie dzwonić i chociaż telefonicznie przekazywać cząstkę siebie. Kochała ludzi, ale tak z potrzeby serca, tak zwyczajnie za to, że są. Z oddaniem opiekowała się chorymi.

Kiedyś na jednym z naszych spotkań przeczytała wiersz o kamieniach, a potem powiedziała nam, że lubi oglądać kamienie, kiedy stoi na przystanku, czy spaceruje po parku. W tych kamieniach widzi twarze ludzi: jedne zmęczone, inne uśmiechnięte, jednak jak powiedziała najwięcej jest smutnych twarzy. Sama przyglądałam się kamieniom i coś w tym jest: kamienie patrzą na nas i uczestniczą w naszym życiu.

Zosia zapraszała mnie niejednokrotnie do swojego domu, ot tak, żeby porozmawiać, ja jednak z braku czasu odkładałam spotkanie. Kiedy na naszym comiesięcznym spotkaniu w maju tego roku zabrakło Zosi, było dla mnie dziwne, przecież zawsze starała się być z nami. Za kilka dni zadzwonił do mnie jej syn i powiedział, że mama nie żyje. Odeszła w cierpieniach od nas w czwartek, właśnie wtedy, kiedy było nasze spotkanie, tuż przed swoimi imieninami.

W mojej pamięci zostanie na zawsze ta uśmiechnięta, drobna kobieta, która zawsze potrafiła znaleźć czas dla drugiego człowieka.

**Zofia
Borkowska – Uzdowska**

„ ... nie udała się Tobie starość...”

mówią

posilek
zjadamy
na stojaka

odpoczywamy
w zgiełku

pracujemy
od nocy do nocy

kochamy się
w biegu

babcię nie czytają wnukom bajek

dla świętego spokoju
nie mają spokoju

Ona umiała

Ona umiała
brać krzyż Twój Panie
i niosła Go z Tobą
w milczeniu.

Ona umiała
brać krzyż swój
i Twój i mój
i niosła Go z nami.

Ona umiała
wyciągnąć zdrę
a ranę
zacerować pocałunkiem.

Małżeństwo

jabłko
dzielone
między Tobą
między mną

Romans

robak w jabłku
drażący najlepszą



DOKOŃCZENIE ZE STR. 2

Mieczysław Wojtasik, Krystyna Wulert i Jadwiga Stróżykiewicz – sekretarz .

Wykonane w brązie medale otrzymaliśmy 27 czerwca 2009 r. w Barcinie, odległym ok. 25 km od Bydgoszczy, rodzinnym mieście pisarza „w robotniczej bluzie”. Na zapoznawcze spotkanie zostaliśmy zaproszeni dzień wcześniej do Bydgoszczy, które odbyło się w domu studenta przy ulicy Staszica 3.

Z Libiąża k/Oświęcimia jechałem całą noc autobusem PKS. W Bydgoszczy w domu studenta byłem już o godz. 6 rano. Cały dzień spędziłem na zwiedzaniu pięknego miasta i rysowaniu cienkopisem architektury zabytkowych kamienic i kościołów. I wreszcie wszyscy spotkaliśmy się... Była też z nami miła i sympatyczna organizatorka ogólnopolskiego kulturalnego wydarzenia – Krystyna Wulert, przewodnicząca bydgoskiego RSTK. Wszyscy czuliśmy się niczym starzy przyjaciele znający się od lat, chociaż nigdy wcześniej się nie widzieliśmy. Ta szczodra dama przyniosła nam smaczną kolację i... dużo optymistycznych informacji.

Na drugi dzień o ósmej rano Ireneusz Frelichowski przyjechał po nas swoim samochodem i przed godz. 10.00 byliśmy już w Miejskim Domu Kultury w Barcinie. W bocznej sali serdecznie przyjęto nas smakolijkami „szwedzkiego stołu”, zaś do głównej sali, gdzie mieliśmy mieć wręczone medale, przyszło sporo ludzi, m.in. przybył burmistrz Barcina Michał Pęziak, dyrektor Miejskiego Domu Kultury Artur Jakubowski, wiceprzewodnicząca Rady Powiatu Stanisława Ciesielska, byli też dziennikarze, lokalna telewizja. Gdy weszliśmy na salę, poproszono nas nagrodzonych, abyśmy usiedli w pierwszym rzędzie, na honorowych miejscach.

Najpierw wszystkim przedstawiono życie i dorobek twórczy Jakuba Wojciechowskiego – robotnika pisarza, którego przed wojną udekorowano wawrzynem Polskiej Akademii Literatury, a potem po kolei, zaczynając od Jana Z. Brudnickiego, proszono nas na podium do wręczenia medalu, dyplomu i kwiatu róży. Były gratulacje i oklaski. Na zakończenie słuchaliśmy koncertu zespołu jazzowego.

Tuż przed południem z przedstawicielami Urzędu Miejskiego i lokalnej telewizji pojechaliśmy na cmentarz, żeby na grobie J. Wojciechowskiego złożyć kwiaty i zapalić znicze. A potem zjedliśmy obiad i pożegnaliśmy się z organizatorami tego szczytnego wydarzenia. Ireneusz Frelichowski zawiózł nas z powrotem do Bydgoszczy.

Dodam jeszcze, że honorowe Medale im. Jakuba Wojciechowskiego za „Zasługi dla Kultury Robotniczej” przyznawane są od 1988 roku. Wcześniej otrzymali je m.in.: prof. Bogdan Suchodolski, prof. Bronisław Gołębiowski, dziennikarz Wiesław Rogowski, reżyser filmowy Andrzej Barański, prof. Andrzej Kwilecki, Michał Krajewski, dr hab. Roch Sulima, Paweł Soroka oraz grono społecznych działaczy z ruchu RSTK.

Wiesław Koneczny

Wojskowe Koło Literackie „In Aeternum”

Wojskowe Koło Literackie „In Aeternum” powstało w 1988 roku przy Klubie Garnizonowym w Szczecinie. I do dziś bardzo aktywnie działa. Jego siłą napędową i inspiratorami są major Leszek Dembek (prezes koła) i kierowniczka biblioteki Klubu Garnizonowego w Szczecinie Elżbieta Jusiewicz (wiceprezes i sekretarz koła).

W ciągu 21 lat działalności „In Aeternum” współpracowało ze szczecińskim Oddziałem Związku Literatów Polskich, Muzeum Literatury przy Książnicy Pomorskiej, Robotniczym Stowarzyszeniem Twórców Kultury w Szczecinie oraz instytucjami kulturalnymi Szczecina.

Dużo zawdzięcza mecenatowi i pomocy Departamentu Wychowania i Promocji Obronności MON i Oddziału Kultury Pomorskiego Okręgu Wojskowego. „In Aeternum” zawsze różniło się od innych wojskowych kół literackich w Polsce swojego rodzajem elitarnością, ponieważ członkami szczecińskiego koła byli i są tylko wojskowi z 12 Dywizji Zmechanizowanej. Nic więc dziwnego, że treścią utworów członków tej grupy, poza szerokim spektrum tematów ogólnoludzkich i uniwersalnych, było jednak zawsze wojsko, życie żołnierzy, honor i patriotyzm. Sprawy te w swoich wierszach wyrażali kpt. Witold Niewiarowski, mjr Zenon Lach, mjr Ryszard Reinowski, st. chor. Zbigniew Jahnz, st. sierż. Mirosław Strągowski i mjr Leszek Dembek. Świadczą o tym ich utwory opublikowane w almanachach wydawanych przez Pomorski Okrąg Wojskowy i przez Departament Wychowania i Promocji Obronności MON np. „Ikebana wiersza”, a także w indywidualnych tomikach poezji Leszka Dembka i Ryszarda Reinowskiego, w czasopiśmie literackim oraz dodatkach kulturalnych do czasopism regionalnych. Pisząc o dokonaniach „In Aeternum”, oprócz dającego się zmierzyć ilością publikacji dorobku literackiego, trzeba też wspomnieć o wielu różnorodnych formach pracy literackiej, których celem było doskonalenie warsztatu literackiego członków grupy, popularyzacja literatury i kreowanie w świadomości ludzi wizerunku żołnierza jako człowieka wrażliwego i pełnego pasji.

Członkowie Koła organizowali seminaria literackie, warsztaty poetyckie, konkursy literackie, na które zapraszani byli profesorowie, krytycy literatury, poeci, prozaicy i eseiści. Były to ważne postacie środowiska literackiego, m.in. prof. Erazm Kuźma, red. Aleksander Nawrocki, Jan Zdzisław Brudnicki, Tomasz Jastrun, Andrzej K. Waśkiewicz, dr Bogdan Twardochleb, Leszek Szaruga, Jerzy Koperski, Henryk Banasiewicz, Stanisław Zajączek, Adriana Nagórska, Jerzy Stasiak, Kira Gałczyńska, Marian Kasprzyk i wielu innych.

Nie można też pominąć spektakularnych imprez literackich, współorganizowanych przez „In Aeternum”, do których

niewątpliwie należały Ogólnopolskie Biennale Poezji im K.I. Gałczyńskiego i Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. K.I. Gałczyńskiego. Członkowie Koła uczestniczyli w Prezentacjach Artystycznych RSTK w szczecińskim Klubie Garnizonowym oraz Prezentacjach Artystycznych 12 Dywizji Zmechanizowanej pn. „Witryna”. Do dorobku koła należy też zaliczyć kilka spektakli poetyckich prezentowanych w Szczecinie w Klubie 13 MUZ (“...niech światło w nocy nie gaśnie”), na Zamku Książąt Pomorskich (“...może pierwszy deszcz nie stopi już”) oraz na imprezach plenerowych. Autorem tekstów, oprócz mjr Leszka Dembka – obecnie członka ZLP, byli członkowie grupy „In Aeternum”, zaś autorem muzyki kpt. Grzegorz Haciski.

Grupa ponadto szczyci się zwycięstwami i wyróżnieniami jakie zdobyli jej członkowie w corocznie organizowanym przez Departament Wychowania i Promocji Obronności MON Ogólnopolskim Konkursie Literackim Wojskowych Kół Literackich: w 2007 drugie miejsce zajęła



Zdzisława Gierszal, a w 2008 roku – st. chor. rez. Zbigniew Jahnz. Prestiż grupy podnosi udział Leszka Dembka w jury różnych konkursów literackich.

Nie można w tak krótkim tekście w pełni oddać siły przekonań, ducha i charakteru grupy „In Aeternum”, czy wreszcie ukazać cały dorobek literacki, ale zawsze można powiedzieć, że zgodnie z tłumaczeniem na język polski jego nazwy, członkowie Wojskowego Koła Literackiego w Szczecinie pozostali „na zawsze wierni” swoim pasjom, służbie dla Ojczyzny i słowu, które jest ich głosem w burzliwym przełomie wieków.

Elżbieta Jusiewicz



Wiersze odnalezione

Krystyna Przybyszewska

Powinni

Siedzieć w domu, oglądać telewizję,
czytać książki, zadowoleni że mają
tak dużo czasu, myśleć
lub co tam sobie chcą,

Ale w szczególności
nie tłoczyć się po tramwajach
w godzinie szczytu, bo nie znajdą miejsca –
z kolejki wygonimy, zdrowi muszą mieć siłę
do pracy i do życia.

Bo co czwarty, to inwalida –
– ja też bym chciał,
wojny przecież nie było,
skąd to, tyle ... robactwa
– zima była lekka –

Tyle lat pracowałaś w PRL-u,
to należy ci się opieka –
powiedział syn.
Tak synu... odpowiedziała matka
zasłaniając uszy ...
okularami.

Maria Suska - Klink

Noc w Heidelbergu

Już północ
W źrenicach uspiętego miasta
opadają żaluzje
Skrywają jednak
Dobrobyt i upokorzenie
Jutro znowu na czarno
Obco
tylko Nekar w dole
Połyskuje światłem
tych samych gwiazd

Maria Bednarek

Powrót

R. Szpakowskiemu

Migające za szybą zielenie –
wyciśnięte z tubek farby
które rzuciłeś na blejtram
przebijało słońce rozlanego rzepaku
(w sam raz na moje urodziny)
pędziłam łodzią z tamtego pejzażu
nie z nim nie z Tobą
lecz z mrówką czerwoną na obrazie
– z innej planety

(Lubniewice '91)

Wybór wierszy Wojskowej Grupy Literackiej „IN AETERNUM”

Zbigniew Surowiecki

Oczy
mokre od łez
wpatrzone w biel korytarza
pickły

– Cóż pozostało ?
Wierzyć w człowieka
w jego dłonie

W uszach moich
czas walkę toczył
wydelikaczone ściany drwiły
Teraz

Wiem, czekały w barierze myśli,
opłatały zewsząd
próbowały wykrzyknąć mój strach.

Mirosław Stragowski

Odbicia

W skupach makulatury
Szamoczą się Białe Kruki
Postrzępione resztki
Kultury ojców
Ludzie sprzedają stare
I kupują nowe
Kolorowe i drogie
Do nowych tapet segmentów
Gości

Piotr Biernacki

Gra w ciemno

Zmęczony
cudzym oddechem
odchodzę
trzymaj hasło
– nowe czasy

dla kogo ?

nie wiem
obdarty z marzeń zostałem
porzucony sobie

komu uklon
swą pracę

za starym co nowym
się mieni

czy za tym
czego jeszcze nie widziały
oczy tej ziemi



Ryszard Reinowski

Poligon – ziemia niczyja

Ziemia umarła, leży odłogiem,
wstrząsana dreszczem ciągłej kanonady.
Pachnie ropą i żołnierskim potem,
i dudni grozą wojennej ballady.

Ziemia niczyja – rozjeżdżona sprzętem –
deptana trudem żołnierskiego buta ...
Straszy śmiercią – za łada zakrętem –
dysząc w milczeniu – żołnierska reduta.

Gdy pada hasło – ożywia się ziemia –
z ukryć wyłażą pancerne skorupy,
plując smugami palącego ognia
wzbijają w niebo czarne dymów słupy.

Idąc spoglądasz w rowów oczodoły..
Martwy krajobraz , drzew kikuty stoją.
Pnie opalone – jak trupy bez głowy,
rany wciąż nowe , które się nie goją.

Śmiercią tu pachnie, ta ziemia skazana
na ciągłą mękę, na wieczną torturę...
Setki pocisków pękając od rana,
rzeźnią codziennie jej piaszczystą skórę.

Witold Niewiarowski

To nie dziś

Generale,
to nie dziś
wróciły nam nasze serca
To nie dziś
wróciły nam nasze dusze
To nie dziś
wróciły nam nasze sumienia
To nie dziś
wróciły nam nasze myśli.
Lecz dziś
możesz nas poznać generale
To my,
twoi żołnierze,
z tysiąc
dziewięćset
osiemdziesiątego
oczu tej ziemi
pierwszego

Zbigniew Jahnz

Prośba

Przeźren pod stopami,
przeźren nad głową –
ograniczona odwróconym
kielichem spadochronu.
Wiatr gra na linkach życia
wyrastających z ramion
staccato wyciskające
łzy z oczu.
Zawieszony w otchłani
na granicy niebytu
gubię perły łez,
bezgłośnie krzyczę:
– Kocham cię wietrze!
Nieś mnie na swych skrzydłach
ku ziemi, która odda mój cień.

Leszek Dembek

Rozmawiając

ja
w jednym
ty w drugim fotelu
i jak dwa głodne psy
ostrzymy na siebie zęby
rozmawiając o Polsce

Zbigniew Jahnz

Iracki sen

Czy jestem bogiem wojny,
podrygującym rytmicznie
w metalowej puszcze transportera
na drodze do nikąd?

Czy jestem bogiem wojny,
którego jedynym łącznikiem
z rzeczywistością jest kropla potu
spływająca z mego czoła?

Czy jestem bogiem wojny,
którego marzenia pozostały
za horyzontem i wielką wodą,
tysiące kilometrów stąd?

Czy jestem bogiem wojny,
czy niewolnikiem metalu
otaczającego moje ciało
z każdej strony?

Przydrożna mina
ognistym pocałunkiem
wdarła się w moje płuca.
Czy nadal jestem bogiem wojny?

Leszek Dembek

Droga sumienia

najpierw patrzy na ciebie czarna tablica
niczym oczy zabitego młodego górnika
z kopalni „Wujek”

potem widzisz milczącą jak skała
twarz Generała - bez rozkazu którego
nie zakwitłyby czerwone maki na „Monte Cassino”

a kiedy mijasz ten pomnik najwyższy
Marszałka – z napisem
„Dał Polsce
Wolność
Granice
Moc
i Szacunek”

pytasz samego siebie
a gdzie jest nasze miejsce w tym szeregu
Panie Generale
nas żołnierzy z przed 1989’

którym „obca moc siłę zabrała”

Galeria jednego autora

GALERIA JEDNEGO DOMU



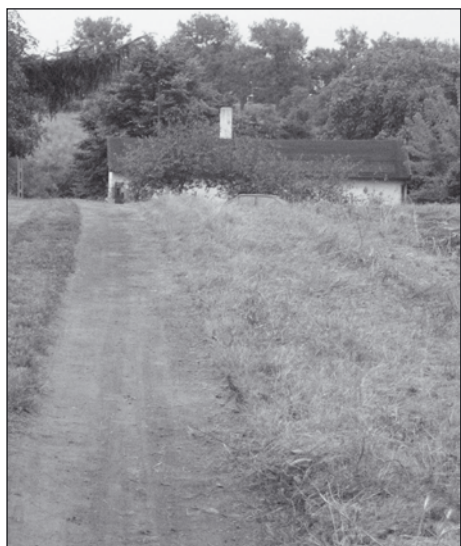
W dniu 29 sierpnia 2009 roku, w Łazieńcu (obecnie miejsce pomiędzy Aleksandrowem Kujawskim a Ciechocinkiem) uroczyste została odsłonięta tablica

upamiętniająca rodzinny dom Edwarda Stachury. „Do wsi Zagubin, na Kujawy

białe, gdzie ziemia licha, piachy niebywałe” – pisał Sted. Od tamtego czasu minęło trzydzieści lat, a my prezentujemy jedynie dyskretne spojrzenie jak to dzisiaj wygląda. W następnym numerze Własnym Głosem będzie obszerna relacja z 11 edycji Białej Lokomotywy. Dwudniowej, ogólnopolskiej imprezy literacko – muzycznej, która w swym wymiarze ma na celu propagowanie twórczości Steda.

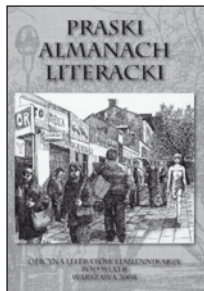
Na prezentowanych zdjęciach od lewej widać: Moment, przed odsłonięciem tablicy pamiątkowej. Jest ona po-

łożona jakieś 20 metrów przed domem Stachury. Fragment dużego pokoju połączonego z przedpokojem i kuchnią. Drogę, od ulicy do domu Edwarda, który jest położony na nizinie Ciechocińskiej. Przedmioty będące na kredensie w kuchni. Podwórko. (Jakieś 150 metrów dalej biegnie tor kolejowy do Ciechocinka. Sted niejednokrotnie wysiadał z jadącego pociągu, by mieć bliżej do domu). Młodsze brata Edwarda – Jana, stojącego w progu domu. Ponadto zdjęcie legitymacyjne Edwarda, będące przyćpione do kredensu.





Tragizmy i doskonałości



W ubiegłym roku minęła 360 rocznica powstania Warszawskiej Pragi. Z tej okazji wydano pierwszy Praski Almanach Literacki. Dzielnica ta, początkowo jako wieś pełniła bardzo ważne funkcje dla mieszkańców całego miasta. Adam Jarzębski (1590 – 1648) pisał: „A Stara

się gdzie podziała/ Do Pragi za Wisłę poszła/ Przyczynę czy powiedziała/ Bo tam handłów swoich doszła.”

Za panowania króla Władysława IV, Praga otrzymała akt erekcyjny i własny herb, a także nadano jej prawa magdeburskie. We włościach stały wtedy 103 domy. To przedmieście stolicy było pozycją strategiczną, którą spalił szwedzki król Karol X Gustaw Waza w lipcu 1656, a w październiku 1794 zrównano Pragę z ziemią, a ludność wycięto w pień. Adam Mickiewicz w Panu Tadeuszu, księdze XII pisał: „Przypominając sobie ze łzami boleści/ Rzeź Pragi, którą znały z pieśni i powieści./ Rade, że mistrz na strunami wszystkich/ Zagrział, i głosy zdusił jakby wbił do ziemi”

Trzeba również wspomnieć o heroicznym boju, walce jaka rozegrała się 24 i 25 lutego 1831 na polach Olszyny Grochowskiej. Ten bój z wojskami rosyjskimi rozgrzał wyobraźnię kompozytorów, malarzy i poetów. Pisali o tym m.in. Juliusz Słowacki, Cyprian Kamil Norwid, Stefan Witkacy czy na przełomie wieków Artur Oppman. Wydawać by się mogło, że wobec tych tragizmów nikt już więcej Warszawskiej Pragi nie zaatakuję. Nic bardziej mylnego. Do tych nieszczęść trzeba jeszcze dodać I i II wojnę światową.

Pełny rozkwit i niepowtarzalny klimat (który pozostał do dziś) Praga zawdzięcza artystom takim jak Stefan Wiechecki (Wiech), Andrzej Stasiuk, Agnieszka Osiecka i jej ukochany, a potem przyjaciel Marek Hłasko. Tu, w zaciszach nieodległego Anina wakacyjnie odpoczywał Jan Twardowski. Swoją młodość spędził Krzysztof Gąsiorowski, Ernest Bryll czy Miron Białoszewski. Ostatnie miesiące mieszkał przy Rębkowskiej Edward Stachura. Jego fascynacje Pragą, Grochowem odnajdziemy w prozie „Fabula rasa”.

Wyżej wymienieni, to tylko kilka osób z wielkiego potencjału pisarzy, którzy oczarowani miejscem, klimatem poświęcali wersy Pradze. Dziś, o popularyzację literatury tej części Warszawy dba Centrum Promocji Kultury, gdzie od ponad 10 lat Jan Zdzisław Brudnicki urządza biesiady literackie, promuje pisarzy, a także bardzo potrzebne środowisko – Praską Przysiań Słowa. W almanachu znajdziemy więc wiersze, prozę a także szkice literackie mówiące o atmosferze i urokach tej dzielnicy. Dla urozmaicenia stronic są ryciny, zdjęcia przedstawiające autorów i niepowtarzalny charakter mieszkańców Pragi. Na koniec wypada dodać, że publikacja ukazała się w 90 rocznicę odzyskania niepodległości przez Polskę.

Praski Almanach Literacki Wyd.: Oficyna Lit. I Dzień. „Pod wiatr”; Warszawa 2008

Piotr Goszczycki

Odpowiedzi bez pytań

Na jakich zasadach opiera się fenomen twórcy, nie będę tłumaczył, lecz przytoczę przykład. Jan Siwmir zadebiutował rok temu książką poetycką „Różnoplawy”. Wtedy, wiersze te, wskazywały na pokazny potencjał twórczy, który dopiero się rozwijał. Najnowszy tom „Pytania na źle zadane odpowiedzi” dowodzi, że autor, przeszedł bardzo długą drogę. Podobnie jest z winem, które po prostu musi „swoje” odleżeć, aby nie było zbyt cierpkie. Wiersze te można nazwać pół wytrawnymi o pozytywnym zabarwieniu społecznym, a także nasyceniu metaforą i bukietem zapachowym wczesnej wiosny. To nadzieja, wypowiedziana czasem wprost, czasem owijana w bawelnę.

dotyk

nie mam wewnętrznej czcionki
kodu scalającego pazury i nadmiar słów
dlatego nie możesz mnie odczytać

niełatwo zaszyfrować chęć do życia
lecz jeszcze trudniej żyć
zdając sobie sprawę
z rozsypanych bez ładu palców
z wątrową w miejsce serca
i protezę modlitwy na ramieniu

wepchnęłam się w wąskie przejście
pomiędzy ssakiem który woła jeść
a tym który chciałby fruwać na widelcu i nożu

nie ty jesteś niewidomy
to mnie trzeba czytać brajmem

Po lekturze, w której jest kilka działów wiadomo, że nie da się jednoznacznie odpowiedzieć, na niewłaściwie postawione pytania. Można jedynie domniemywać co autor chciał przekazać. Zadaniem Jana Siwмира było pokazanie pewnych niuansów współczesności, które najwycypaniej nie są łagodne dla wszystkich, jak w wierszu Nauczyciel: „próbowałem wytłumaczyć mu że Bóg często robi błędy/ i jego świadectwo też nie miałyby czerwonego paska // zapytał / czy to znaczy że Bóg miał kiepskiego nauczyciela”. Warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden, estetyczny aspekt. Stroną graficzną zajęła się Małgorzata Jankowska. Wiele wierszy jest ozdobionych czarno-białymi grafikami, które są bardziej wymowne niżeli kilkanaście słów uznania. Jakby o białym kukułku poezji napisać, że jest czarny (jak okładka tomu), tylko wystarczy sięgnąć nieco dalej, do wnętrza. Jan Siwmir to poetyckie małżeństwo, zjednoczone pod wspólnym dachem i wypowiadające się wierszami. Takich wypowiedzi nie wypada przerywać, nie przeszkadzać, lecz po lekturze wypowiadać się. Horacy w Sztuce poetyckiej zauważa:

*Poezja jest jak obraz: jeden, gdy staniesz bliżej,
bardziej ci się podoba, drugi z oddalenia;
ten półmrok lubi, tamten potrzebuje światła,
bo docinków krytyka nie musi się lękać;
ten raz zachwyci, ów i za dziesiątym razem.*

Z tomem „Pytania na źle zadane odpowiedzi” jest podobnie. Warto się dowiedzieć co w trawie piszczy.

Piotr Goszczycki

Jan Siwmir: „Pytania na źle zadane odpowiedzi”; Wyd. SPP; Warszawa 2009; ss 84

W poszukiwaniu zagubionego uśmiechu ...

„Zagubiony uśmiech” to debiut Jacka Grabowskiego, mocno zakorzeniony w świecie pełnym chaosu i zagubienia. Utrwalony w głębokich odczuciach intelektualnych i moralnych. „myśli książ/ zduszone zapachem/ zgaszzonego papierosa/ milcząca echem/ zwęglonych stron/ przytłoczone milczeniem”

Ta jakże głęboka treść nakreśla niezwykle obraz poszukiwania kontaktu z drugim człowiekiem, potrzebę zrozumienia i zauważenia w gąszczach codzienności. Kluczem do zrozumienia stają się „myśli książ”, mądrość, która w starciu

z rzeczywistością okazuje się złudna, bezużyteczna. Wobec tego i wypowiedzane słowa milkną, stają się puste, niezrozumiałe i niewiele znaczące. „obec słowa/ w katakumbach złudzeń/ obnażone z szat zwątpienia (...)” Jakże więc posiadzę wiedzę o człowieku, gdy „okryci ulewą/ wyuczonych myśli/ skupiamy wzrok/ na chwili (...)”? Pragnienie uczucia jest tak wielkie, iż rodzi się niepewność i wątpliwość do ich prawdziwości. „(...) wyuczone kliknięcie/ kończy sens/ zaczętego słowa (...)” Czy wobec tego wiara w słowa, ich sprawczą moc, jest tak płytka? Narrator konsekwentnie dąży do „szczerej rozmowy”, do otwarcia serca. Jednak by temu sprostać próbuje odnaleźć sens miłości i przyjaźni. Zagubiony w własnych myślach, staje nagle na rozdrożu w obliczu samotności. Szuka wciąż wyjścia, drzwi do „lepszego jutra”, wartościuje i sam wciąż doświadcza. „zatopione zdania/ w oceanie nienawiści/ wyrokiem chwili/ w sądzie słowa/ bez prawa/ do warunkowego zwolnienia”.

Pomimo tego bohater odnajduje czas miłosnych uniesień, pragnie spełnić je z ukochaną osobą, w której złożył swoje nadzieje i sprawi by „(...) inny świat/ widziany/ promieniami/ wschodzącego słońca (...)”, był jedynym miejscem szczęścia. Nie pozbawiony mankamentów tom, posiada jednak niezwykłą relację dwóch światów, które na przemian się przenikają. Rzeczywistość, którą nazbyt otacza niezrozumienie i świat wyidealizowany potrzebą uzewnętrznienia uczuć.

Jacek Grabowski umiejętnie dysponuje prostym, bez zbędnych niedomówień językiem. Swobodnie porusza się między słowami, choć chwilami niepewnie stawia kroki. Być może dlatego popełnia wiele błędów i gra na zwłokę (powtórzenia). Jako dojrzały obserwator wnika w zakamarki ludzkiego umysłu, pragnie poznać intencje kierujące drugim człowiekiem. A jak to ma się do relacji? Autor dostrzega niemożność porozumienia się, brak akceptacji, osamotnienie i zarazem odrzucenie jednostki. Niejednokrotnie stosuje odniesienia do mitologicznych sensów: „przeklęte dusze”, „mary opuszczonego okrętu”, „skrzydlaty jeździec”, w katakumbach złudzeń” To poezja mroku, zwątpienia, poszukiwania, ale również obserwacji tego co wokół, zwyczajne i zarazem nadzwyczajne. Słowa – klucze, które Grabowski wciąż powtarza to: słowo, myśl, chwila, ale też ból, nienawiść, cisza. Każą one bezpośrednio odnieść się do tego co kruche, nietwałe, ulotne. Grabowski potwierdza wciąż swoją wątpliwość kształtowaną – jak by nie patrzeć – czasem. Utwierdza się w przekonaniu, że mimo wszystko wiara w człowieka pozostaje otwarta, nasila się w momencie, gdy dochodzi do konfrontacji. Być może wtedy powstaje rozczarowanie.

Polecam tomik Jacka Grabowskiego „Zagubiony uśmiech”. To dobra lektura, by na chwilę zatrzymać się. nad sobą.

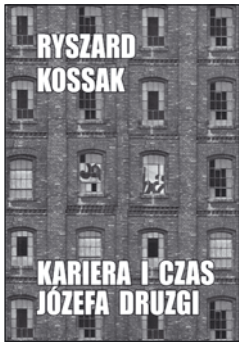
Jacek Grabowski – „Zagubiony uśmiech”; Wyd. Firma Usługowo – Wydawnicza „DANIEL”; Sępólno Krajeńskie 2008 r.

Małgorzata Szewda

Nowe publikacje Komografu

Z dużą przyjemnością obserwuję, że firma wydawnicza „Komo – graf” publikuje coraz więcej dobrej prozy. Co prawda wciąż jeszcze w produkcji przeważa poezja rodzinna i gminna (jak wiadomo poetów nie sięją), ale i w tej dziedzinie pojawia się coraz więcej epickiej jasności. Przykładem – obszerne, wierszowane dzieło Bogdana Wrzesińskiego. Mamy tu opis całej niemal Polski, mierząc „od przybrzeżnych fal” aż po Wierch Butorowy, ze wszystkimi urokami przyrody oraz porami roku, rodzinnymi obyczajami i codziennymi zajęciami. W istocie jest to więc powieść, podobna do pewnej historii słacheckiej z roku 1811 i 1812, w dwunastu księgach wierszem. Szkoda tylko, że księga Bogdana Wrzesińskiego, nosząca tytuł „Barwy świata” jest stosunkowo mało znana, a powinna trafić pod

DOKOŃCZENIE ZE STR. 12



strzechy. Ba, ale gdzież jeszcze strzechy można zobaczyć?

Autentycznym dokonaniem „Komografu” w dziedzinie prozy jest powieść Mirosława Kossakowskiego „Egzamin ze wspomnień”. Tytuł jest o tyle adekwatny, iż rzecz ta ma charakter autobiograficzny, wywodzi się z osobistych

wspomnień autora. Na fakt ten zwraca uwagę w przedmowie znany pisarz Andrzej Zaniewski, doszukując się nawet pewnego pokrewieństwa tej powieści z utworami Stefana Żeromskiego. Może to porównanie jest nieco przedwczesne, można bowiem mówić jedynie o podobieństwie stylu pisarskiego czy nastroju. Żeromski, jak wiadomo, nader często sięgał po kicz, naciskał pedał do dechy, a uczuciowy był niesamowicie. No i bardzo dokładny w opisach. Ten styl udało się Kossakowskiemu uchwycić, ku zadowoleniu czytelnika.

Rewelacyjnym dokonaniem Ryszarda Kossaka jest satyryczna powieść, czy może raczej na poły dokumentalna opowieść pt. „Kariera i czas Józefa Drużgi”. Autor jest zawodowym dziennikarzem, niegdyś, w czasach PRL pracował w zakładowej gazecie fabryki traktorów w Ursusie. Dobrze zapamiętał wydarzenia z lat 1980 i 1981, a także wszelkie przemiany ustrojowe po roku 1989. Można było oczekiwać, że powstanie z tego drażniąca opowieść z podtekstem politycznym, jako iż wiadomo, że wzlot i upadek „Ursusa” odbywał się w sposób bardzo zagadkowy, o czym w swoim czasie pisał Zbigniew Bujał. Niestety, Ryszard Kossak zakamuflował wszelkie konflikty, własne przeżycia ukrył pod postacią tytułowego Józefa Drużgi, a nawet własny zakład produkcyjny przemianował na fikcyjną firmę. Wprowadził do swej narracji zupełnie zbędne wątki, jak np. otwarcie katowickiego „Spodka” w 1975 roku, czy też mało wiarygodne beletryzacje z udziałem Edwarda Gierka, Piotra Jaroszewicza czy Jacka Kuronia. Wydaje się, że Kossak zamierzał napisać wielką powieść polityczną na miarę epoki, a skończyło się na stu pięćdziesięciu stronach. Najciekawiej wypadł rozdział poświęcony upadkowi zakładowego ogniwa „Solidarności”, który zaczął się od pewnego posiedzenia Komisji Fabrycznej w grudniu 1989 roku. I to jest autentyczny problem. Dlaczego o tym musiał pisać człowiek z zewnątrz, David Ost?

Przy dwóch kolejnych pozycjach wydanych przez „Komograf” – powieści „Cierpki smak rajskich jabłek” Teresy Januchty oraz zbiorze opowiadań „Rozkosz dana samotnym” Juliana Brachmańskiego – przeżywałem ciężkie duszne rozterki. Pierwsza opowiada nam o miłości pewnej malarki do księdza przestrzegającego ściśle celibatu. Druga rzecz zawiera ostre, niekiedy drastyczne relacje erotyczne. Jako człowiek mocno starszy bardzo źle znoszę takie opowieści, więc poprzestanę na tym stwierdzeniu. To rzeczy dla amatorów.

Na koniec wypada stwierdzić, że w „Komografie” wydali kolejne swoje tomiki nasi przyjaciele z Nowogrodzkiej – Zbigniew Kurzyński i Ludwik Wanbutt. A także bardzo ciekawy zbiór poezji wydał Jan Siwmir, ale w tym przypadku wydawca wystąpił tylko w roli drukarza.

S.D

Oskarżony: Czas

Petycja do Losu

Wysoki Sądzie! Prawo powinno stać po stronie słabszego. Dlaczego zatem już od chwili poczęcia wiś nad nami miecz Damoklesa?

„życie jednak jest wyrokiem czekam w nim na egzekucję”

Tak pisze Stanisław Dominiak w swoim tomiku wierszy zatytułowanym „Barwy czasu”. Ale jakie barwy może mieć czas? Czerń, szarość,



nijakość, puste miejsca, w których nie ma nawet nadziei na kolor, kryjówki, gdzie „chociaż się stale przed śmiercią i zapomnieniem”. A jeśli nawet pojawiają się gwiazdy czy fajerwerki, to trwają niezwykle krótko i „wsiąkają w zegary jak deszcz w ziemię”. Wysoki Sądzie! Czas jest postawiony ponad

sprawiedliwością i fakt ten obraża sprawiedliwość i nas wszystkich. Bo jakże to tak, żebyśmy byli jednorazowi jak koń czy nie przymierzając chusteczki higieniczne, bezradni, ulegli i podporządkowani komuś, kto nawet twarzy nie ma. Można być „samotlącym się papierosem” w ustach Boga, owszem, godzić się na jego fanaberie i słuchać jego dyrdymała, ale on przynajmniej ma jakieś oblicze. A ten tam, oskarżony? Ma tylko dwie lewe łapy, którymi kręci na bladej twarzy księżycą i takie coś ma czelność decydować o długości życia każdego stworzenia na ziemi, a specjalnie człowieka, a konkretnie mnie?!

Pan Bóg nie pali byle czego, więc może jest to i honor dla mnie, że jestem cząstką jego oddechu, ale nie może być zgody na panoszenie się tego drania, Czasu i jego bezapelacyjne rządy. On nie liczy się z nikim i z niczym. Proszę wziąć pod uwagę, Wysoki Sądzie, że także na rozprawę na Czas się nie stawił i że Wysoki Sąd też jest od niego uzależniony. To ma być partner? Bezosobowy, nijaki apodyktyczny i traktowany lepiej niż reszta? Jeżeli mam w tej sprawie coś do powiedzenia, to chciałbym, aby odnotowano w protokole moje stanowcze „liberum veto”. Nie życzę sobie, żeby mój kolor był kolorem przemijania. Przyznaję rację Staszce, że „nietaktem było poczęcie mam”, że Bóg być może pomylił się w rachunkach wyliczając nasze chwile, że

„Szalona lokomotywa Życia
w rękach pijanego maszynisty

nie wiadomo dokąd zmierza
kiedy i gdzie się zatrzyma”

Jednak tu i teraz proszę o wyrok dla kogoś, kto powinien być traktowany jak każdy z nas, wyrok dla Czasu, tego uzurpatora podszywającego się pod Boga. Wyrok najwyższy z możliwych. Za siebie, za nas, za historię. I żeby mi to było ostatni raz, takie wypuszczenie Czasu na wolność. Przecież nie można grać sobie „chodząc z pętlą na szyi”.

Pod moją petycją, Wysoki Sądzie, podpisał się nie tylko Autor tomiku, ale wielu, wielu ludzi. Liczymy na sprawiedliwy wyrok.

Do wiadomości:

Rodzice

Los

Bóg

Wysoki Sąd – cokolwiek by to było

Jan Siwmir

Stanisław Dominiak; „Barwy czasu”; Wyd. Miejski Ośrodek Kultury w Piastowie; Piastów 2009

Miłość nie jedno ma imię

Trzeba mi/ twoich ramion/ciepłych/ jak satynowe skrzydła anioła/ by ukryć się w nich/ przed samotnością tak zaczyna Aleksandra Ochmańska jeden ze swoich wierszy pochodzący z najnowszego tomiku „Kręte drogi Miłości”. Ta młoda poetka jest już na takim etapie życia, gdy poprzez pryzmat własnych doświadczeń, wie co jest w tym życiu najważniejsze, co jest siłą sprawczą i napędową każdego jednostkowego bytu. To właśnie miłość jest tym wyznacznikiem, który sprawia, że istnienie ludzkie ma swój określony sens. Doświadczenie miłości przez autorkę jest tutaj szeroko rozpisane od uczuć dziecka do matki, którym poświęca wiele utworów traktujących z największym pietyzmem swoją wdzięczność rodzicielce, przez miłość do mężczyzny, często

zranioną, cierpiącą, pełną bólu, ale nie wolną też od chwil radosnych, obfitujących w szczęście i namacalne spełnienie, po miłość własną, do siebie, nasyconą pierwiastkami akceptacji i zgody na wszystko, co zysła los, choć czasem buntującą się i wyrwywającą poza kanon pokory. Zawsze jednak przekaz poetycki eksploduje środkami artystycznego wyrazu, tak iż nawet wytrawny czytelnik dostrzeże w tych utworach talent i sprawne pióro wrocławskiej, młodej przecież jeszcze, poetki. Ta młodość Aleksandry Ochmańskiej daje nam nadzieję, że autorka rozwinie swój twórczy potencjał, pójdzie dalej tropami Pegaza, dojrzej i zachwyci, a nawet zaskoczy i zadziwi jeszcze nie raz, nie dwa, wiernego czytelnika.

Pokazałaś mi/jak przygotować konfitury marzeń/ poobrywanych z wątych gałązek dni/ dogasających/ w ciepłym popiele zmierzchu/ /słodzę je kryształem cukru/ wykruszonym z Twojego uśmiechu/ dodaję pistacjowe migdały spojrzeń/ w których unosisz moje troski. Uczucie poetki do matki staje się tu pewnym sacrum. Autorka zdaje sobie w pełni sprawę z roli jaką matka odegrała i odgrywa w jej życiu i nie lekceważy tego. Z tak osobistego podejścia podmiotu lirycznego do własnej rodzicielki, uważny odbiorca tej poezji, odczyta nadrzędny sens twórczości autorki. Najnowszy tomik poezji Aleksandry Ochmańskiej jest właściwie kontynuacją, doskonałą zresztą, jej wcześniejszych, odważnych, twórczych dokonań.

Wołam/ gdzie jesteś?!/ gdy z głową odchyloną/ w kierunku marzeń/ śledzisz ulatujący stromodymek papierosa// pytam/ w którym miejscu/ przystanęła twoja myśl o mnie?!/ bo jestem tu/ w kruchych zarysach teraźniejszości/ i drzę jak smukła trzcinka/ rozrywana od środka/ pragnieniem miłości/// wracaj! To wołanie o miłość jest rodzajem osobistego zwierzenia i zawierzenia odbiorcy tych wierszy, tudzież próbą uporania się z własnymi tęsknotami, bo drogi miłości są przecie kręte. Poetka odważnie pomaga czytelnikowi domyślić się co ją boli, mówiąc wprost o własnej samotności i goryczy, które przecie istnieją. Te wiersze A. Ochmańskiej, dalekie od wykwinnego feminizmu, mają w sobie coś z porażająco prawdziwej liryki wyznaniowej: Mówiłam mojemu sercu:/ nie trzepocz gwałtownie/ jak ptak uwięziony w klatce/ choć w końcu godzi się na swój los i wyznaje lecz sama nie chce/ wyrzucić go z ciasnych objęć/ moich myśli. Wynika z tego, że ogromny ładunek emocji i uczuć nieobcy jest wrocławskiej poetce, że niezwykła miłość stała się jej udziałem, jak każdego z nas i jak każdemu, trudno jest bez niej żyć. Wysublimowany klimat tej poetyki przywodzi na myśl inne lirycznie współbrzmiające, rozedrgane, tętniące zmysłowością i namiętnością wyszukane frazy, wszechobecne w poezji Marzenny Lewandowskiej z Kowala.

Zaskakujący jest wiersz kończący zgrabną całość i tematycznie zamknięty cykl „Krętych dróg Miłości”. Zmusza on czytelnika do zastanowienia, czemu ma służyć ta dygresyjność, a jest właśnie zgodą na nieuchronność losu i co za tym idzie, odważną i całkowitą próbą akceptacji siebie. Tekst „Rozrachunek” choć odbiega ideowo od spójności łączącej cały zbiorek, nadal krąży wokół miłości i związanych z nią przeżyć: Tato/ zamknęłam wreszcie to okno/ wychodzące/ na rozległe przestrzenie oczekiwania/// tato/ musiałam zamknąć to okno/ by uniknąć przeciagu/ kiedy przyszło z bukietem koniczyń/ śmiało otworzy drzwi.

Mam nadzieję i ufam, że przyszłość otworzy drzwi na Parnas poetce z Wrocławka, cokolwiek to oznacza, bo precyzja języka, wyszukana często metaforyka i kobiece powab tych wierszy najwyraźniej za tym przemawiają.

Małgorzata Pietrzak

Aleksandra Ochmańska, „Kręte drogi Miłości”, NKL Wrocław 2008r.

Lucjan Zuzia

Bez odpowiedzi

Jest kilka chorób, które mają wpływ na zanik naszej pamięci. Jedni zapominają liczby, daty, drudzy nazwiska znajomych. Są też bardziej złożone przypadki amnezji. W jednym można utracić całą swoją przeszłość: zaczynać jakby życie od nowa, uczyć się wiązać sznurowadła, jeść widelcem czytać lub śpiewać. Kiedy zjawiają się przed nim krewni lub dawni przyjaciele, zachowuje się tak, jakby nigdy przedtem ich nie widział. W innym przypadku pamięta się tylko odległą przeszłość, lecz zapomina, co się zdarzyło kilka minut temu.

Zastanawiam się, czy istnieje jakaś forma wywołania zaniku pamięci, który wymazałby z mojej wszystko to, co wiązało się z Joanną. Oczywiście były to rozważania pozbawione sensu, ale człowiek, który może się pogodzić np. z utratą cennego obrazu lub zguby większej kwoty pieniędzy, też pragnie jak najszybciej o tej sprawie zapomnieć, bo przeszkadza mu ona pracować, cieszyć się życiem. A cóż dopiero mówić o człowieku, który utracił kogoś, kogo kochał, kto był ośrodkiem, wokół którego obracało się życie. Zaczęłam analizować swoje myśli. Zadawałam sobie pytanie:

– Dlaczego nie mogę uwolnić się od tego, co mnie spotkało, choć dobrze wiem, że jest to zdarzenie nieodwracalne. To, co mnie spotkało, dotyka ludzi na całym świecie. Nie jestem żadnym wyjątkiem. Świat zmienia się nieustannie. Nie ma już powrotu do dni, które upłynęły. Muszę żyć w tym zmieniającym się świecie, możliwie najlepiej.

Czy wy drodzy czytelnicy doświadczyliście kiedyś takiego uczucia jak ja uczucia zazdrości? Czy drżeliście tak jak ja, gdy wasze wspaniałe dzieło w pewnym momencie zaczęło żyć własnym życiem, a wy staliście się już niepotrzebni? Jeśli tego dotąd nie przeżyliście, to możecie uważać się za szczęśliwców. Co innego ja. Ja byłem dużo starszy od Joanny, a ona dopiero rozkwitała. Byłem typowym mężczyzną. Rozpierała mnie duma i zadowolenie z tego, że ze zwykłej dziewczyny z prowincjonalnego miasteczka, wymodelowałem kobietę – na miarę swoich marzeń. Aż nagle ten mężczyzna stwierdza, że ów wspaniały model oddala się od niego, i to, że coraz trudniej udaje mu się go trzymać pod kloszem. Myślę, że wiedza mężczyzny żyjącego w orbicie kobiety wyłącznie w wymiarze intymnych zbliżeń, bywa zafalszowana. Dopiero sytuacje podobne do tych, w której się znalazłem, mogą uświadomić każdemu, że w istocie kobieta i mężczyzna przyglądają się sobie w lustrze, obserwując wrażenie, jakie każde z nich wywiera na drugim. Wydawało mi się, że nie wywieram już na Joannie dawnego wrażenia, które w jej oczach wywoływało było podkreślanie przeze mnie ważności i znaczenia mojej osoby. Chociaż wiedziałem, że podejrzliwość zrodzona z zazdrości może być oznaką nienormalności psychicznej, nie potrafiłem od niej jednoznacznie się uwolnić. Odrzuciłem rozumowanie, że uczucia zazdrości są wśród ludzi rozpowszechnione. A tymczasem wyobraźnia rysowała obrazy, które coraz bardziej wzerały się we mnie. Drobne wcześniejsze obserwacje, zaczęły tworzyć łańcuch, który sugestywnie jawił mi się przed oczami. Byłem przekonany, że zaczynam tracić Joannę. Powinienem szukać rozwiązania – szukać ostatniej szansy ratowania siebie i jej. Przypuszczenia zaczęły przybierać na sile. Rozumiałam już, że między nami coś się zmieniło. Oddalaliśmy się od siebie, aż wreszcie przyszedł dzień w którym Joanna spakowała walizki.

Pamiętam dobrze, że kiedy była już za drzwiami miałem ochotę wołać ją, zatrzymać za wszelką cenę, ale nie zdobyłem się na żaden ruch, choć ogarniał mnie strach przed pozostaniem bez niej. Kochałem ją, jej obecność w mieszkaniu dawała mi poczucie bezpieczeństwa – była w nim punktem oparcia. Mimo wysiłku nie mogłem sobie teraz przypomnieć

żadnej decyzji, którą by Joanna nie powzięła, i która by mnie nie wydała się błędna. To stwierdzenie okazało się teraz dla mnie przykre. Pokój w którym przesiadywałem wieczorami, był dla mnie jak cela pustelnika, a okno na świat i ciemna przestrzeń za nim stwarzała złudzenie, że znajduję się poza czasem, który gdzieś trwa. W końcu przeobrażało się w dekorację do snów, które mogły bez przeszkód przedostać się przez otwarty wywietrznik w oknie. Pamiętam jeden z tych snów; śniła mi się Joanna. Szliśmy razem po łące, wiatr rozwiewał jej włosy, aż nagle ujęła w dłonie moją twarz pocałowała mnie mocno w usta. A potem znowu płynęliśmy łódką po bezkresnym morzu, a wokół nas huczała burza i uderzały pioruny. Wtedy trzymaliśmy się w objęciach. Kiedy się obudziłem rzeczywiście za oknem szalała burza.

Od czasu do czasu nawiedzały mnie zły i dziwaczne sny. Szczególnie zapamiętałam jeden. Byłem na pustyni. Jakiś mężczyzna pojawił się na tle pustynnego krajobrazu. Szedł w moją stronę. Wyjął zza pleców topór z błyszczącym ostrzem i podszedł do mnie. Wtedy poznałem, że to był mój ojciec.

– Chodź ze mną. Muszę z tobą pomówić – powiedział władczo. Ruszyłem za nim. Weszliśmy do jakiegoś domu, który pojawił się przed nami. Nagle ojciec odwrócił się, stanął przede mną i podniósł topór nad moją głowę.

– Klękniij – rozkazał. Ogarnęło mnie przerażenie, ale posłuchałem.

– A teraz słuchaj uważnie, co ci powiem – rzucił ostro;

– Pamiętaj o tym, że musisz ... !

Obudziłem się. Sen był tak sugestywny, że rozglądałem się po pokoju, szukając postaci ojca. Ale on gdzieś zniknął. Chciałem go zapytać, co mam robić? Nie wiem jaką dałby odpowiedź?

Ale teraz rozumiałem, że nie można żyć bez giętkości, której domagało się życie.



Zdj. Piotr Goszczycki

Jan Siwmir

Literatura i język

Lubię kłąć. Lubię okrągłą miękkość, wlochatosć i szorstką czepność brzydkich słów. Nawet ich zapach mi nie przeszkadza. Ludzka głupota, prymitywizm, zachłanność i zawiść ożeniona z bezinteresowną złośliwością przekroczyła już granice, które można opisywać zwykłymi, kulturalnymi słowami. Trzeba sięgnąć do arsenału słów zaczerpniętych ze słownictwa armii lub łapać za słowa powszechnie uważane za wulgarne. Co też pewnie w jakiś sposób łączy się z armią.

Niemniej jednak... O ile rozumiem, że czasami zarówno pięść jak i stół to zbyt mało, aby nas usłyszano, to przecież nie może być tak, że używamy słów w sposób niekontrolowany, bez sensu, li tylko dla ukrycia faktu, iż nie mamy nic do powiedzenia. Jeśli nie mamy nic interesującego do przekazania, to nie mówmy. Wulgaryzmy w charakterze protez czy osłonek dla zięjącej pustki, sprawiają karykaturalne wrażenie. Moim zdaniem język służy do tego, aby przekazywać pomiędzy ludźmi komunikaty. Informujemy o faktach, emocjach, o chęciach i niezgodzie na coś. Podobnych informacji wysłuchujemy.

Nie odbieramy współczesnemu światu możliwości używania słów, co do których umó-

wiliśmy się, że są nieprzyzwoite. Im bardziej będziemy zakazywać, tym większy opór będzie stawiał świat. Szczerze mówiąc sam bym protestował. Rozumiem bowiem ludzi, którzy od dawna nie wyobrażają sobie podzielenia się swoimi emocjami za pomocą jednego treściwego słowa. Co więcej, nawet takie autorytety jak profesor Miodek dopuszczają sytuacje, w których wulgaryzmy są najzupełniej zrozumiałe. Ba, sam kilka lat temu byłem świadkiem, kiedy użycie pewnego słowa okazało się wręcz niezbędne. Otóż idąc przez tzw. studnię, czyli plac, wokół którego wybudowane zostały bloki, zobaczyłem naprzeciwko siebie młodego mężczyznę trzymającego za rękę małe dziecko. Nagle na ostatnim piętrze jednego z bloków otworzyło się okno, wychyliło się z niego dwóch osiłków szycząc jeden przez drugiego coś, co po zamianie jednego z bardziej plastycznych epitetów na neutralnie brzmiący wyraz „korba”, brzmiałoby tak:

– Ty, Zenek, kiedy korba oddasz wiertarkę?
– Dzisiaj wieczorem – padła odpowiedź.
– Ty, pytam korba kiedy?
– Zaprowadzę syna do babci i przyniosę.
– E, no korba miałeś oddać, to oddaj.
– Ale mówię przecież, że oddam.
– Ale korba kiedy?
– No korba wieczorem – mężczyzna desperacko wyrzucił z siebie słowo-klucz, pomimo obecności synka.

Informacja poparta przecinkoprzerwywnikiem w końcu dotarła do tego szczególnego gatunku odbiorców. Siedziałem wtedy na chodniku i płakałem ze śmiechu. Dzisiaj zastanawiam się czy przypadkiem w naszej mowie przecinkoprzerwywnikami nie są zwykłe słowa, a komunikatem właściwym wulgaryzmy?

Przytoczyłem tę historię, żeby zilustrować fakt, iż w pewnych środowiskach wulgaryzmy są swego rodzaju kodem językowym, bez którego nie jest zrozumiała treść wypowiedzianych zdań. Opisując te środowiska, nie możemy sięgać lewą ręką do prawego ucha, bawiąc się w karkołomnie brzmiące opisy, będące synonimami wulgaryzmów. Jeśli chcemy skierować pewne treści do tychże odbiorców, chcąc nie chcąc musimy się do tego kodu dostosować. Jeżeli, rzecz jasna, chcemy osiągnąć jakiś efekt. Do takich jednak komunikatów służy proza. Po co mieszać w to poezję, z natury swojej elitarną? Zostawmy w literaturze choćby jeden bastion, który jak oaza na pustyni będzie dawał ukojenie spragnionym. Od długiego czasu ta dziedzina literatury zachwaszczana jest przez ludzi, dla których zbyt trudne jest namalowanie obrazu zwykłymi słowami. Nie potrafią, chcą mienić się artystami, więc szukają elementów, które zastąpiłyby talent. Cóż prostszego? Wystarczy kilka niecenzuralnych słów użytych wprawdzie bez sensu, ale wystarczająco skandalicznie, by ukryć niedostatek talentu. Odpowiednia promocja, nagłośnienie w mediach, zrzeszenie się w grupy podobnych sobie osób utalentowanych inaczej. Sukces gotowy.

A ja chciałbym w malarstwie wrócić do czasów Rembrandta, w literaturze zaś do czasów Skamandrytów i Szyborskiej. Wiersze tkane kiedyś były z sensu słów, nie z protez sens zastępujących, a jeśli pojawiały się wulgaryzmy, to w ściśle określonym celu i w precyzyjnie zaplanowanych momentach, nie „zamiast”. Szklanka wody zamiast życia seksualnego też by was ziryutowała. I mówię to ja, który lubi pić wodę, kłąć, walić pięścią w stół i nazywać rzeczy po imieniu. Więc może jednak przekroczyliśmy już ten próg oddzielający piękno od zbędnego odpadu w prozie życia, wodę od piasku?

Każdy z nas chciałby przecież choć na chwilę uciec od szarości, mdłych, rutynowych dni, gdzie nie ma na czym zawiesić wzroku. Dziwicie się, że ludzie oglądają łzawe seriale? Ja się nie dziwię. Skoro sięgnąwszy po tomik precyzyjnie zaplanowanych momentach, nie „zamiast”. Szklanka wody zamiast życia seksualnego też by was ziryutowała. I mówię to ja, który lubi pić wodę, kłąć, walić pięścią w stół i nazywać rzeczy po imieniu. Więc może jednak przekroczyliśmy już ten próg oddzielający piękno od zbędnego odpadu w prozie życia, wodę od piasku?

Każdy z nas chciałby przecież choć na chwilę uciec od szarości, mdłych, rutynowych dni, gdzie nie ma na czym zawiesić wzroku. Dziwicie się, że ludzie oglądają łzawe seriale? Ja się nie dziwię. Skoro sięgnąwszy po tomik precyzyjnie zaplanowanych momentach, nie „zamiast”. Szklanka wody zamiast życia seksualnego też by was ziryutowała. I mówię to ja, który lubi pić wodę, kłąć, walić pięścią w stół i nazywać rzeczy po imieniu. Więc może jednak przekroczyliśmy już ten próg oddzielający piękno od zbędnego odpadu w prozie życia, wodę od piasku?

Problem w tym, że niewiele osób mogłoby wtedy nazwać się artystą.

Smutne.

Jan Siwmir

Migotania

PRZEJAŚNIENIA

Bez rozjaśnień

Tym razem prezentujemy wydawaną w Gdańsku – Ogólnopolską gazetę literacką „Migotania i Przejścia”. Przedstawianym numerem – jako przykładowy jest numer 1 (tegoroczny), a w perspektywie już 22. Jest to literacki kwartalnik prezentujący górną półkę rodzimej twórczości, a zaczynający się cytatem „Literatura nie jest od rozwiązywania zagadnień, ona je stawia” Witolda Gombrowicza.

Wśród 40 dużych stron znajdziemy mnóstwo wierszy, felietonów, esejów, prozy. W tym zakresie Własnym Głosem jest tylko skromnym dodatkiem. Ale chciałbym jedno porównać iż jest takie samo, a mianowicie format a3. „Migotania i Przejścia” jest czasopiśmie typowo literackim z dużym naciskiem graficznym – plastycznym. Nie ma tu podziałów na jakiegokolwiek formacje twórcze. Tu każdy ma prawo się zaprezentować (o ile jego twórczość jest na wysokim poziomie). Czasopismo ukazuje się od czerwca 2002 r. w nakładzie 750 egz. Większość nakładu rozcodzi się w sieciach Empik.

Między wierszami znajdziemy tu ludzi doskonałych i to nie tylko z Polski (ks. Jan Sochoń czy Bruno Geneste), starych dobrych znajomych (Paweł Kubiak, Andrzej Wołosewicz), debiutantów (Izabela Fietkiewicz – Paszek, Paweł Hajduk) a także Martę Skonieczną, która zginęła tragicznie w wieku 28 lat, a zostawiła po sobie tylko 242 rozproszone wiersze, dzienniki, relacje, kartki z kalendarza. Dyskurs teatralny, wywiad z Jean – Marie Gustave'em Le Cle'zio, który stwierdza że „W prozie najważniejsza jest poezja”. Na koniec przekartkowania periodyku znajdziemy okrucy Jana Gondowicza, i Tomasza Majzla. W ramach obszernego czasu na refleksję znajdziemy pasjonujący esej ks. Jana Sochoń – Kochać Absolut, czyli rozważania o potęgę doskonałości.

Doskonałość każdego numeru wyznacza fachowo dobrana redakcja pod przewodnictwem Zbigniewa Joachimiaka (doskonały poeta), a także sekretarz redakcji Karolina Firyn. Dodatkowo cały sztab współpracowników, którzy dostarczają materiały najwyższego sortu.

Wielu ludzi uważa, że literatura, gazety powinny być za darmo i według typu „w sam raz na raz”. Nic bardziej mylnego. W przypadku „Migotania i Przejścia” cena egzemplarza wynosi 8 zł. Gdybyśmy się zdecydowali na prenumeratę, cena wyniesie wtedy 5 zł. Warto wydać tę kwotę, a migotaniem będziemy się radować nie jeden raz. Nawet gdy niebo się nie rozjaśni, będziemy szczęśliwsi, czytając literaturę pozytywnych lotów, co może potwierdzić redakcja Własnym Głosem.

Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Kazimierza Ratonia

Organizator: Galeria Literacka przy Małopolskim Biurze Wystaw Artystycznych w Olkuszu oraz kwartalnik literacki „FRAZA”

Celem konkursu jest popularyzowanie poezji współczesnej, wspieranie twórców z dorobkiem i młodych talentów. Propagowanie poezji ambitnej, trudnej.

Warunki konkursu: konkurs jest otwarty dla wszystkich twórców, zarówno zrzeszonych, jak i będących poza związkami twórczymi. Każdy z uczestników konkursu proszony jest o nadesłanie od 5 do 8 utworów (około 100 wersów) niepublikowanych w wydawnictwach zwartych i nienagrodzonych w innych konkursach – każdy utwór należy nadesłać w 4 egzemplarzach, zaopatrzonej w godło (pseudonim). Godło należy umieścić także na dołączonej do zestawów zaklejonej kopercie. Wewnątrz koperty powinny się znaleźć dane osoby: imię, nazwisko, adres, numer telefonu, e-mail (jeśli posiada), wiek oraz kilka słów o ewentualnym dorobku. Do danych osobowych należy też dodać kopię dowodu wpłaty 15 zł opłaty konkursowej – konto: Kredyt Bank S.A. Oddział Nowy Sącz 27 1500 1559 1215 5000 9278 0000 (z dopiskiem w rubryce nazwa odbiorcy: „opłata na konkurs im. K. Ratonia w MBWA Olkusz”)

Prace należy przysyłać pod adres:
MBWA Galeria w Olkuszu,
ul. Szpitalna 32,
32-300 Olkusz
z dopiskiem na kopercie "Konkurs im. K. Ratonia".

Termin nadsyłania prac upływa 20 października 2009 roku (decyduje data stempla pocztowego). Uwaga, warunkiem dopuszczenia do konkursu jest uiszczenie opłaty konkursowej. Prace nadesłane na konkurs nie będą zwracane.

Jury w składzie:
Miłosz Biedrzycki (czyli MLB, poeta),
Roman Honet (poeta),
Janusz Pasternski (krytyk, poeta, w kwartalniku "FRAZA" prowadzi dział poezji),
wybierze najlepsze zestawy, a nagrodą będzie wydanie zwycięzcy autorskiego tomiku.

W I edycji był nim Maciej Sawa z Przemysła, którego debiutancka książka ukazała się i była dołączona do kwartalnika "FRAZA". W II edycji zwycięzcą został Marcin Orliński, w III Krystyna Myszkiewicz – tomik Na pstryk i zew, a w IV Izabela Kawczyńska (tomik w opracowaniu). Pozostali nagrodzeni oraz wyróżnieni otrzymają nagrody pieniężne i książkowe. Na nagrody przeznaczone jest 4 tys. zł. Nagrodzeni i wyróżnieni zostaną poinformowani o tym fakcie listownie, telefonicznie lub e-mailem.

Mecenasami konkursu są: Starostwo Powiatowe w Olkuszu, Urząd Miasta w Olkuszu oraz Oficyna 21, wydawca tomu Poezje Kazimierza Ratonia. Nagrodzeni zobowiązują się do dostarczenia organizatorom zestawu 30-40 wierszy. Część nakładu tomiku zwycięzcy będzie rozprowadzana przez wydawnictwo "FRAZA".

Oficjalne rozstrzygnięcie konkursu odbędzie się w końcu listopada 2009 r. Organizator nie ponosi kosztów dojazdu nagrodzonych i wyróżnionych autorów. Laureaci mają za to zapewniony bezpłatny nocleg w bursie w Olkuszu.

Szczegółowe informacje o konkursie im. K. Ratonia udzielane są przez telefon o numerze: 0-32 754 34 47.

DOKOŃCZENIE ZE STR. 5



dolny właz! W odpowiedzi na nią jeden z podoficerów wdrapał się do połowy kiosku i otworzył właz. - Otworzyć górny właz - po tej komendzie do okrętu zaczęło przedostawać się świeże powietrze. Nasz okręt ponownie był na powierzchni Bałtyku. Jeden z podoficerów na kiosku okrętu umocował biało-czerwoną banderę. Nie ukrywam, że jako cywil odbywający po raz pierwszy rejs okrętem podwodnym, odczułem wtedy ulgę. Dla mnie był to najbardziej emocjonujący moment z całego rejsu, który na zawsze zapamiętam.

Nie chce mi się już spać, więc obserwuję prace wachtowego czyli nawigatora. Nagle przypominam sobie, że już niedługo wschodząc będzie Słońce. Pytam stojącego przy stole nawigacyjnym kapitana marynarki Łukasza Szmigła czy wie, o której zacznie wschodzić słońce? Okazuje się że wszystko wcześniej już wyliczył: - wschód słońca nastąpi o 5.39. Nie przeoczyłem tego momentu – o tej godzinie skierowałem się do peryskopu. Moim oczom ukazał się niezapomniany widok, wręcz erupcja piękna! Zza horyzontu morza powoli wyłaniała się pomarańczowa półkula, a chwilę potem moje oczy poraził okrąg jaskrawo świecącego słońca, trochę przyćmiony nisko zawieszoną chmurą. Słoneczne promienie rozbiegły się po wzburzonych falach morza. Delektowałem się tym widokiem przez parę minut.

Powoli płynąc w wynurzeniu zbliżamy się do portu wojennego. Jeszcze tylko śniadanie. Kucharz bosman Kotlewski tym razem przygotował dla nas smaczne smażone kiełbaski z cebulą, do tego plasterki pomidorów, papryki i ogórków, chleb z masłem. Bardzo mi smakowały.

Około 8.00 rano jeszcze raz spojrzalem przez peryskop: u wejścia do portu powitaly nas stada kormoranów i mew, które obsiadły betonowe nabrzeża.

Minęły 24 godziny od rozpoczęcia rejsu. Dobiliśmy do brzegu. Pożegnałem się z członkami załogi, podziękowałem im za życzliwość i cierpliwe wysłuchiwanie moich pytań i wynurzeń, za kompetentne wyjaśnienia. Życzyłem im tyle powrotów do portu, ile wypłynięć. Tyle wynurzeń, ile zanurzeń – poprawił mnie dowódca kmdr por. Piotr Pawłowski, który po trapię odprowadził mnie na nabrzeże. Podziękowałem mu serdecznie ze ten niezwykły dla mnie bezpieczny i pełen wrażeń rejs...

Okręty podwodne typu „Kobben” pływają pod banderą Marynarki Wojennej RP od pierwszych lat XXI wieku, ORP „Bielik” od 2003 roku. Dzięki nim w pełni zawodowa kadra podwodniaków może nieustannie się szkolić i wykonywać ważne zadania. Jednak już niedługo, bo w 2012 roku, kończy się resurs tych udanych okrętów. Co będzie dalej z ich załogami, którzy bez wątpliwości stanowią elitę Sił Zbrojnych RP? Nie wyobrażam sobie, żeby Ci znakomici fachowcy odeszli nagle do cywila. Byłaby to wielka strata dla naszej obronności. Dlatego już teraz nasi politycy powinni myśleć o pozyskaniu następców „Kobbenów”. Problem jest poważny, tym bardziej, że cała polska Marynarka Wojenna ulega przyspieszonej degradacji i jest najbardziej zaniedbanym rodzajem naszych sił zbrojnych. Polskie społeczeństwo w ogóle nie zdaje sobie z tego sprawy! I to mimo tego, że mamy wspaniałe tradycje morskie. Przed wojną, w krótkim okresie II Rzeczypospolitej, między innymi dzięki takiej postaci jak Wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski, zbudowana została Gdynia wraz z nowoczesnym portem, Stocznia Marynarki Wojennej, która teraz chyli się ku upadkowi, powstała Wyższa Szkoła Marynarki Wojennej, a przede wszystkim nasza flota wojenna dysponowała niemalą liczbą naprawdę nowoczesnych okrętów wojennych. A więc można było! Czy będzie nas stać na podobny wysiłek w najbliższych latach?

Paweł Soroka

Zamiast Hyde Parku

Współczesna poligamia

Moich dziadków stać było na diamentowe wesele. Szkoda, że świadków tej uroczystości już nie ma wśród żywych a efektu poświęcenia nikt nie udokumentował. Tak naprawdę, to wątpię, że doczekali się takiego stażu małżeńskiego. Pewnie wynika on z najwyczejniejszych plotek przekręcanych na potrzeby otoczenia. Tak czy owak, plotka to czy nie, ponoć przeżyli ze sobą 60 lat. Moich rodziców stać było na złote годы. To też godny podziwu wynik tym bardziej, że wiarygodny. A mnie stać za ledwie na blaszaną rocznicę. No cóż, przynajmniej jestem trendy. Tego nikt nie podważy. Może uda mi się pobić własny rekord i trzykrotnie świętować tę uroczystość?

Pierwszy mąż był muzykiem. Wytrzymałam z nim dziesięć lat dzięki jego licznym wyjazdom za granicę. Raz podpisał półtoraroczny kontrakt w orkiestrze filharmonii w Sydney. I to był najcudowniejszy okres naszego małżeństwa. Tęsknota, czule słówka przez telefon, listy miłosne i... cisza w domu. Ona zawsze trwała do powrotu męża. Niestety właśnie w tym dniu kończyła się romantyczna miłość a zaczynał horror żony kontrabasisty, czyli mnie. Jego próby w domu to pestka. Nasze kontakty interpersonalne psuły się w momencie, gdy przemieszczałam się po mieszkaniu. Prozaiczna sprawa, prawda? Przecież każdy normalny człowiek chodzi po domu. Dla mojego exmęża nawet koty za głośno tupają przemykając po kuchennej posadzce. Dlatego oddaliśmy futrzaki, wyrzuciliśmy kaptcie a wychodząc na dwór, buty zakładałam za drzwiami. W końcu nie wytrzymałam i kupiłam sobie pięciocentymetrowe tak zwane szpilki. Paradowałam w nich po mieszkaniu jak kulawa modelka. Exmąż, zgodnie z przewidywaniami, nie mógł przyzwyczaić się do mojego nowego image.

Rozwodem byłam krótko załamana. Można by rzec: kilka minut. Prosto po zalegalizowaniu rozpadu naszego małżeństwa, zostałam porwana przez przyjaciół do dyskotek. Niewyszukane miejsca odreagowania, ale skuteczne. A to najważniejsze. Mogłam do woli skakać, tupać, szurać i drzeć się na cały głos, albo i jeszcze głośniej. Przez ponad pół roku nie zmarnowałam chwili na tęsknotę, telefoniczne dyrdymały typu „jak bardzo mi cię brak” i nie wyskrobałam żadnego listu na perfumowanej papeterii. Totalna zniczulica! Wyluzowałam się na maksa.

Nawet nie wiem, kiedy wyszłam ponownie za mąż. Na moje szczęście ów wybranek nie był muzykiem. Ludzie nieświadomie powielają swoje błędy, zwłaszcza podczas amnezji. Bardzo się tego przestraszyłam. Krótko mówiąc, gdy zorientowałam się, że mam obrączkę na palcu czym prędzej sprawdziłam słuch muzyczny mojego wybranka. Uff, okazał się głuchy jak pień. Na początku sprawiało mi to przyjemność, potem zaczęło męczyć, aż w końcu nie wytrzymałam. Miarka się przebrała, gdy poprosiłam go o pomoc podczas sprzątania mieszkania. Uniemożliwił mi odkurzenie dywanu pod jego stopami. Nie podniósł nóg twierdząc, że nie słyszał, że proszę o to. O nie, pomyślałam, dosyć tego dobrego! Albo zaczniesz współpracować, albo wynocha! Krótka piłka! Wybrał piłkę – kauczukową. Wyleciał z domu szybko, wysoko i bezpowrotnie.

Kiedy wyleczyłam nadwyrężone od krzyku struny głosowe oraz obolałe od wysokich obcasów stopy, zaczęłam pojawiać się z przyjaciółmi w teatrach, muzeach, w SPA. Ukulturalniłam się z nawiązką i zregenerowałam za wszystkie stracone lata. W między czasie poznałam przystojnego psychologa, który posiadał dwie wspaniałe zalety: beztalencie muzyczne oraz umiejętność słuchania ludzi.

Za kilka dni ślub. Wszystko wskazuje na to, że moja droga złowienia faceta na tysiąc sposobów dobiegła końca. Mam nadzieję, że przystojny psycholog w roli męża nie prawi moralów na temat: „Co blondynka powinna jeść na śniadanie, a w co się ubrać”.

Izabela Zubko

Julian Jan Zderski

Hobbysta

Zapytali raz hobbystę:
jakie masz zamiłowanie?
On rzekł na to: Oczywiście,
kobiety i polowanie.
Na to rzekli: trafiaj w sedno,
nie możesz wymienić dwoje,
powiedz hobby ale jedno,
takie hobby będzie twoje ...

ów hobbysta po namyśle
odpowiedział: No niestety,
mam ja hobby, o nim wciąż śnię ...
To polowanie – na kobiety ...

Bronisław Dryja

Ileż to dziewcząt wpada w pułapkę próżności.

Adam tylko w raju mógł być pewny, że Ewa nie
pokocha innego.

Nie pytaj dziewczyny, który dzień był dla niej
przyjemny. Spytaj o noc.

Ileż to dziewczyn podczas zaślubin ma wianek
tylko na głowie!

Dziewczyny różnią się sposobem
Kokietowania, ale nie różnią się tym
co mają pod spódniczką

Jestem zadowolony z mojej dziewczyny:
dzięki niej poznałem inne i zrozumiałem
że wszystkie nie mają oleju w głowie

Pąki puszczają na wiosnę, a dziewczęta
puszczają się cały rok

Kobieta ze zdrowym umysłem
to taka, która rozumie,
że niewiele rozumie



Ludwik Wambutt

Kibicowanie

Olimpiadę, tą w Seulu
oglądałem aż do bólu.
Te zwycięstwa i porażki.
Miałem jeden problem ważki:
jak spać, czyli "robić lulu"?

Boks

Kiedyś w Polsce z boksu biła
technika, a także siła.
Od Gołoty i Salety
boks nasz "dostał galarety".
Za co Pan Bóg karę zsyła?

Wiesław Brewiński

Związek małżeński

Dwie ofiary
Jednej pary.

Niewyparzona

Powiedziała chłopu, że jest cham i zwierze.
Teraz, zamiast chłopca, cholera ją bierze.

W Polsce

Trzyma się wiara.
Reszta się stara.

"Własnym Głosem". Pismo Robotniczych Stowarzyszeń Twórców Kultury. Druk pisma dofinansowano z dotacji Ministerstwa Obrony Narodowej.

Redagują: Paweł Soroka – redaktor naczelny, Stanisław Dymek – zastępca redaktora naczelnego, Piotr Goszczycki – sekretarz redakcji, Janina Graban, Ewa Komenda, Zofia Mikuła, Jan Siwmir, Stanisław Stanik, Krystyna Woźniak.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, oraz zastrzega sobie prawo zmiany tytułów, skrótów i adiustacji.

WYDAWCA: Rada Krajowa Robotniczych Stowarzyszeń Twórców Kultury, 00-695 Warszawa, ul. Nowogrodzka 46/5
Iip. Tel. 022 629 15 17, e-mail: wlasnymglosem@o2.pl; pawel@plp.info.pl; p_goszczycki@o2.pl;

**WŁASNYM
GŁOSEM**